

Jerzy Harasymowicz

## ŚWIĘTA

Dwóch urodziło się Chrystusów  
w iskrzących sukienkach  
z mrozu diamentów

Na każdej ręce Bohorodyci  
siedział Chrystus w szubie  
na polskie  
na rusińskie święto

Dwóch Chrystusów  
dwa razy się urodziło

I dwa razy wszyscy  
wydeptywali w śniegu  
błękitne ścieżki  
porozumień

— Tak prześpiewałem  
dzieciństwo

To wszystko



Rys. Andrzej Bronikowski

## WIERSZ ŚWIĄTECZNY

Wiersze straciły zdrowie  
i nie wolno im chodzić po górach

Za to wszystkie sprzęty mówią  
stół krzesła Serafimy to firanki  
sfruwają z wiatrem

Matka w sukni z chmur falbanków  
pojawiała się nad miastem

Matko noszę cerkiew na rękach  
walczę za prawdę  
na pogorzeliśku prawdy

Najważniejsze jednak niebo  
niebo to polonina największa  
nie trzeba wyjeżdżać

Matko wielkie święto  
urodził się Isus Christos  
gromowa siła  
gromowy głos

Truchleje zło

Dalsze wiersze na str. 7

Pogodnych  
Świąt  
życzy KAMENA

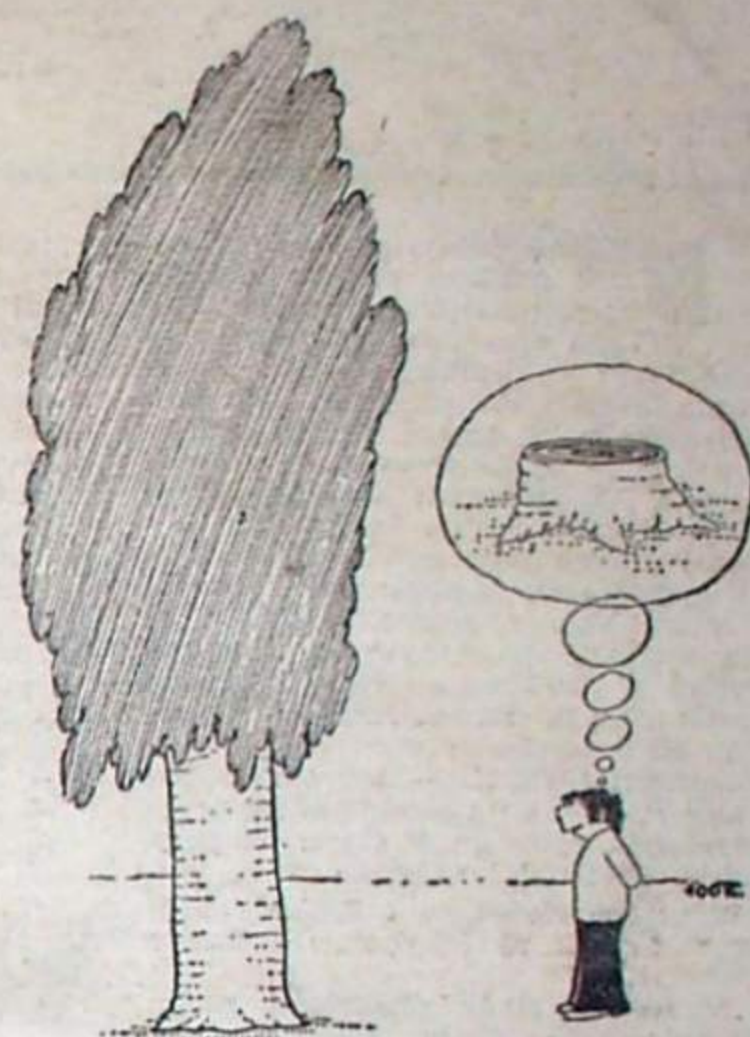
# Rzeź lasu

Henryk Pająk

CZY Polska będzie eksportować drewno do Finlandii? Pytanie wygląda na absurdalne, ale tylko wygląda na takie. Finlandia, tradycyjny eksporter drewna, kraj o największym poza Kanadą stopniu lesistości, może któregoś dnia pójść w ślady swojego sąsiada — Szwecji i nie tylko zmniejszyć drastycznie wyreby, ale pozwolić sobie na import drewna. Wprawdzie nie wywozi się drzewa do lasu, jak mówi mądre porzekadło, ale życie właśnie temu zaprzecza. Na potwierdzenie przytoczę fragment notatki zamieszczonej w „Expresie Wieczornym” z 11 kwietnia br.: „Port szczeciński opuściła szwedzka barka, która zabrała 17 tys. metrów sześć drewna zakupionego przez kontrahenta szwedzkiego. Do portów Wybrzeża Szczecińskiego zawija coraz więcej tego typu jednostek pływających”.

Notatka posiada radosny podtekst — czuje się wyraźnie, że mój kolega po piórze jest zadowolony. Z czego jest zadowolony? Ano z faktu, że do portu Wybrzeża Szczecińskiego „zawija coraz więcej tego typu jednostek pływających”. Nie zawijają one w celach turystycznych i nie wracają do Szwecji puste. Wiozą polską tarcicę, drewno najwyższej jakości, meblowe. Wszak nasi sąsiedzi z północy są znani z produkcji m.in. mebli wyczynkowych typu „skandynawskiego”. My ich zresztą w tej produkcji dość dobrze naśladowujemy. Specjalizuje się w tym np. zakład w Zwierzyniecu — filia Zamojskich Fabryk Mebli.

Ale zamiast przeliczać w myśli dewizy, które płyną barkami szwedzkimi (aby np. wspomóc odpowiednim wsadem dewizowym fabrykę leków w Tarchominie), sięgnijmy do podręcznika geografii dla szkoły podstawowej. Dowiemy się z niego, że lesistość Szwecji wynosi 53 proc. Dowiemy się tak-



Rys. Andrzej Stok

że, iż lesistość Polski to niecałe 27 proc. powierzchni. A zatem kraj o dwukrotnie większej lesistości importuje drewno z kraju o dwukrotnie mniejszym zalesieniu.

Dlaczego tak się dzieje? Czyżby Szwedzi nie dawali sobie rady z wyrebem potrzebnej ilości drewna? To byłoby dziwne, bo przecież szwedzkie piły do cięcia drzew, a ściślej łańcuchy do pił, uchodzą za najlepsze w świecie. Polscy drwale bardzo je sobie cenia.

Tego rodzaju anomalie eksportową mogłaby zrównoważyć jedynie informacja o imporcie węgla np. z Anglii do Polski, ale nieprędka chyba doczekamy się tego. Twarde prawa rynku wyjaśniają tu wszystko: Szwedzi oszczędzają swoje zasoby surowca, którego cena stale rośnie. Żyją w lesie, ale wiedzą, że warto go poszanować; że opłaci się dziś sprowadzić tarcicę z Polski, a jutro sprzedać swoją.

Dokończenie na str. 8—9

## Z ŻYCIA LUBELSKIEJ MASONERII

# Loża „Wolni Oracze”

Józef Marczuk

JAN Hempel, literat i publicysta, po wielu latach tułaczki po Europie, Azji i Ameryce Południowej znalazł się w 1908 r. w Paryżu, gdzie spotkał się ze Stefanem Zeromskim. Kontakty między nimi zacieśniły się, gdy studiujący tam Hempel wstąpił do paryskiej loży masonskiej „Francja Socjalistyczna”. Prowadzili wówczas ze sobą wzajemne dyskusje. Krąg wtajemniczonych rozszerzał się. Zeromski poznał Hempela ze swym szwagrem, dr. Rafałem Radziwiłowiczem, ujawniając przed nim, że obaj są masonami i przygotowują emisariuszy do kraju. Radziwiłowicz sam wkrótce zamierzał wyjechać do Warszawy, aby wesprzeć odradzający się tam ruch wolnomularstwa.

Zeromski widział dla Hempela inne zadanie: wyjechać do Lublina i ożywić działające tam od 1906 r. Towarzystwo Oświatowe „Światło”, zalo-

żone również z inicjatywy masonów, m.in. tak znanych lekarzy, jak dr Witold Chodźko i dr Przemysław Rudzki. Innym ważnym zadaniem stawianym przed nim, musiało być nawiązanie bezpośrednich kontaktów z postępowym piśmem „Kurierem Lubelskim”, do którego Jan pisał już artykuły z Paryża. Hempel dowiedział się od Zeromskiego, że pismo to założył człowiek niezwykle wpływowy, lekarz i społecznik, doktor Mieczysław Biernacki. Trzecie zadanie miało polegać na podjęciu przez Hempela próby znalezienia w Lublinie wiernych zwolenników do samodzielnej loży masonskiej.

Pod wpływem Zeromskiego Jan Hempel zdecydował się wrócić do kraju. W końcu sierpnia 1910 r. znalazł się w Lublinie. Zamieszkał w ma-

Dokończenie na str. 8—9



Z wielką przykrością musimy zawiadomić Czytelników, że od 1 stycznia 1983 roku „Kamena” nie stanie się tygodnikiem. Wylonili się trudności techniczne związane z miejscową bazą poligraficzną: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN są tak obciążone pracą, że na razie nie mogą zapewnić terminowego ukazywania się naszego pisma jako tygodnika. Mamy jednak zapewnienie dyrekcji LZGraf., że uczypli ona wszystko, aby i Lublin, największe polskie miasto po lewej stronie Wisły, ów tygodnik otrzymał w możliwie jak naj-szybszym czasie.

Ze swej strony przepraszamy wszystkich zainteresowanych. Szczególnie przepraszamy prenumeratorów. Wspólnie z „Ruchem” i poczętą tak zalewimy sprawę, aby nikt nie poniósł straty.

REDAKCJA

PS. W publikowanym obok rysunku Józefa Tarłowskiego musieliśmy też dokonać zmiany. Zamiast „Nareszcie!!” nasz szef mówi: „Jeszcze nie!!”

**D**ZISIAJ już tylko starsi weterani polskiego ruchu robotniczego pamiętają czasy jego rozbicia oraz fatalnych następstw tego faktu w przebiegu walki o wyzwolenie społeczne polskiego ludu pracującego, zaś w okresie okupacji hitlerowskiej — także w walce o wolność narodu. W szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej często brali górę elementy szowinistycznego nacjonalizmu, co wyrażało się w niedocenianiu walki o wyzwolenie społeczne. Jednocześnie nie uniknęła poważnych błędów powstała w 1918 roku Komunistyczna Partia Polski. Na obliczu ideologicznym KPP wycisnęły swe piętno błędy przeszłości SDKPiL — które zdecydowanie odrzuciła i z powodzeniem przezwyciężyła powstała w czasie okupacji Polska Partia Robotnicza.

W przemówieniu na I Zjeździe PPR (grudzień 1945 r.) Władysław Gomułka powiedział:

„Wszystkie błędy przeszłości ruchu robotniczego w Polsce nie pozwalały mu przez cały czas zająć należnego miejsca w narodzie polskim. Mówię tylko o błędach ruchu robotniczego, gdyż z niego przede wszystkim wyrosła nasza partia i do niego przede wszystkim nawiązuje. Jesteśmy dlatego młodą partią, gdyż odrzuciliśmy od siebie to wszystko, co w przeszłości szkodziło interesom klasy robotniczej i mas pracujących, odrzuciliśmy wszystko, co nie pozwalało innym starym patriotom prowadzić tych mas po drodze do ich wyzwolenia społecznego, po drodze budownictwa demokracji ludowej” (Wł. Gomułka: „W walce o demokrację ludową”, Warszawa 1947, s. 218).

Podczas gdy międzywojenna PPS w czasie okupacji w swej przeważającej większości („WRN”) kontynuowała stare błędy, a nawet je pogłębiała, wchodząc do koalicyjnego rządu emigracyjnego obok ultranacjonalistycznego Stronnictwa Narodowego, czy nawet w dalszym toku wypadków nawiązując kontakty z elementami sanacyjnymi — lewicowa grupa działaczy socjalistycznych w kraju, rozwijając postępowe tradycje w PPS (Barlicki, Dubois, Próchnik), zaakceptowała nową koncepcję polityczną Polski, zaprezentowaną przez PPR.

Po wyzwoleniu pilną sprawą stało się osiągnięcie politycznego zjednoczenia ruchu robotniczego w drodze porozumienia PPR i PPS. Jeżeli bowiem w walce o Polskę Ludową i organizowanie wysiłków obliczonych na realizację tego celu decydującą rolę miała spełniać klasa robotnicza w oparciu o jednolity program działania, to podstawowym warunkiem spełnienia takiego zadania stało się zespolenie wysiłków całej klasy robotniczej, co nie mogło się zrealizować bez organicznej jedności obu partii robotniczych pod wspólnym sztandarem i w imię wspólnego programu działania.

Oceniając rzecz z perspektywy dziesięcioleci, trzeba stwierdzić, że nie było to zadaniem łatwym zarówno dla Polskiej Partii Robotniczej, jak i dla Polskiej Partii Socjalistycznej. Za długi był okres rozbratu i zbyt dużo nagromadziło się spornych punktów widzenia. W szeregach tej pierwszej znaleźli się bojowi i zaprawieni w walkach klasowych komunistów oraz patriotyczne i politycznie aktywne elementy, rekrutujące się z chłopstwa i inteligencji; nie tyle zorientowane w katechizmie marksizmu, co przekonane o słuszności konkretnych zadań politycznych i społecznych, sformułowanych przez PPR. Natomiast w PPS szerokie szeregi członków przyjęły błędy przedwojennej PPS, niezbyt kwapiąc się do szczyr-

rozmów i szczerzej współpracy z tą „nową” partią robotniczą, a tym bardziej do organicznej z nią jedności. Światli przywódcy z obu stron zdawali sobie sprawę, że bez zjednoczenia nie zbuduje się Polski Ludowej i świadomość tę wyrażali w praktyce. W walce o osiągnięcie tego celu z trudnością przewyżczano wieloletnie obciążenia rywalizacji, a także małostkowe ambicje niektórych działaczy. Szerokie zrozumienie w gronie aktywów jednej i drugiej partii znajdowało stwierdzenie Wł. Gomułka na I Zjeździe PPR:

„Tę nową Polskę, opartą na fundamencie demokracji ludowej, można będzie tym szybciej zbudować, im prędzej wszystkie te partie nawiążą w

mas narodu [...]. Polska Partia Robotnicza wierzy, że w ten sposób obydwie partie przygotowują grunt dla organicznego zlania się w jedną partię klasy robotniczej. Byłoby to największy sukces na drodze dalszego rozwoju i budownictwa Polski Ludowej”. (Jw., t. II, s. 269).

Po przeszło rocznych wysiłkach i zaciągach oczekiwania stały się historyczną rzeczywistością, aczkolwiek wiele przeszkód stało jeszcze na drodze.

Bezpośrednie kroki skierowane ku organizacyjnemu połączeniu się dwóch partii robotniczych korespondowały z ewolucją treści społeczno-politycznej pojęcia demokracji ludowej w krajach Europy środkowej i południowo-

damencie ideologicznym marksizmu; b) jedność taka leży w interesie narodu polskiego, zwłaszcza w obliczu ofensywy reakcji międzynarodowej pod wodzą kapitalu amerykańskiego, skierowanej na łamanie umów w Jaltie i Poczdamie, a godzącej w żywotne interesy narodu polskiego; c) PPR i PPS ustalają zgodnie, że obchód pierwszomajowy w 1948 roku odbywać się będzie pod hasłem jednolitego frontu, wiodącego wprost do jedności organicznej polskiego ruchu robotniczego.

Rzeczywiście był to ostatni obchód pierwszomajowy, w którym nad szeregami manifestujących robotników powiewały dwa sztandary dwóch partii robotniczych.

Przed połączeniem obu partii została przeprowadzona w ich szeregach poważnie potraktowana „czystka”, eliminująca elementy bezideowe, przypadkowe i zdemoralizowane; było to konieczne i przyczyniło się waleń do umocnienia autorytetu zjednoczonej partii i do stworzenia w jej życiu atmosfery wzajemnego zaufania oraz sprawności organizacyjnej. 14 grudnia 1948 roku odbyły się jednocześnie ostatnie zjazdy PPR i PPS, których obrady zakończyły się podjęciem uchwały w przedmiocie dokonania historycznego aktu politycznego — powołania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W dniu następnym rozpoczął swe obrady pierwszy Zjazd PZPR, podczas którego — po referacie Bolesława Bieruta na temat: Podstawy ideologiczne PZPR — uchwalono deklarację ideową PZPR i wytyczne Planu Sześcioletniego oraz statut nowej partii i powołano jej naczelne organy.

W deklaracji ideowej dano wyraz przekonaniu, że zjednoczenie polityczne ruchu robotniczego, jego scalenie ideologiczne i organizacyjne zobowiązują wszystkich członków do jeszcze intensywniejszej pracy ideologicznej w duchu marksizmu-leninizmu, bardziej konsekwentnej i zdecydowanej walki o umocnienie państwa ludowego i nowego ustroju społeczno-politycznego. Końcowy ustęp deklaracji zwięźle stwierdzał: „Jednoczymy się jako awangarda polskiego proletariatu, jako przodująca siła narodu polskiego w jego marszu do socjalizmu, jako polski oddział międzynarodowego frontu wolności i postępu demokracji i socjalizmu. Jednoczymy się, aby poprowadzić Polskę naprzód, do pełnej sprawiedliwości społecznej, do socjalizmu”.

W 35 rocznicę zjednoczenia możemy stwierdzić, że przytoczone wyżej cele zachowały do dzisiaj swoją aktualność. Osiągnięta wówczas jedność polityczna ruchu robotniczego stała się nieodwracalnym faktem historycznym; stare podziały i przedziały w tym ruchu należą do niepowrotnej przeszłości. W przeżywanym obecnie narodowym kryzysie moralno-politycznym nikt poważnie nie pokusił się reanimować rozbrajającego według przytych schematów, zaś pojedyncze głosy kilku byłych członków byłej PPS, będące przejawem małokalibrowych ambicji, przebrzmiały bez echa.

Tak jak w 1948 roku partie robotnicze zjednoczyły się m.in. w obliczu zagrożonych interesów narodu polskiego, tak i dzisiaj powinien zjednoczyć się cały naród: wobec niebezpieczeństw — nie mniejszych od tych sprzed 35 lat — godzących nie tylko w jego byt i całość, lecz i w losy całej ludzkości.

Zjednoczyć się — póki nie będzie już za późno!

Warszawa, 26 listopada 1983 r.

## W 35 rocznicę narodzin PZPR

Andrzej Burda

swej działalności do dobrych tradycji swych poprzedników. Tylko przez odrzucenie wszystkich złych tradycji stare partii, zachowując swoje nazwy, mogą stać się nowymi partiami i tylko jako takie mogą zbudować Nową Polskę i nowe życie”. (Jw., s. 219).

Formalną podstawą urzeczywistnienia idei jednolitego frontu robotniczego oraz współdziałania PPR i PPS w dziele budowy nowej rzeczywistości politycznej i społecznej narodu polskiego stała się umowa między obu partiami z 26 listopada 1946 roku. Ponieważ ustalone w niej zasady wzajemnych stosunków zachowały moc wiążącą aż do czasu ziszczenia się idei jedności organicznej, warto je tutaj pokrótce przypomnieć. Obie partie uznały za konieczne zacieśnić współpracę i solidarnie działać we wszystkich dziedzinach życia politycznego i gospodarczego; zobowiązały się wzajemnie szanować samodzielną i równorzędną partnerską oraz uzgadniać wspólne stanowiska we wszystkich ważnych sprawach politycznych i gospodarczych przed ich publicznym sformułowaniem; zobowiązały się wychowywać swych członków w duchu jedności klasy robotniczej i usuwać wszelkie przeszkody w budownictwie jednolitego frontu, podejmując bezkompromisową walkę z wpływami ideologii antysowieckiej i reakcji WRN-owskiej; zalecały swoim organizacjom odbywanie wspólnych zebrań i posiedzeń w celu pogłębiania pracy ideowej i zbliżenia między członkami obu partii; daly wyraz szczeremu pragnieniu, by poprzez coraz ściślejsze współdziałanie i ideowe zbliżenie zmierzać do jedności organicznej partii robotniczych.

Po zwycięstwie Bloku Demokratycznego w wyborach do Sejmu Ustawodawczego w dniu 19 stycznia 1947 r. rozpoczął się okres głębszej i trwalszej stabilizacji politycznej, co zdecydowanie sprzyjało pomyślnemu urzeczywistnieniu zasad umowy. Nie można tu nie docenić znaczenia wygranej Bloku Demokratycznego jako wspólnego sukcesu obydwu partii, gdyż fakt ten wpłynął pozytywnie na atmosferę dalszego współdziałania. Wiadomo; wspólnie odniesione zwycięstwa spajają mocniej sojuszników. W warunkach osiągniętej stabilizacji Wł. Gomułka mógł z pełnym przekonaniem stwierdzić w swym przemówieniu pierwszomajowym w 1947 roku:

„Jednolity front klasy robotniczej, uwarunkowany ściśle współpracą Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, stanowi fundament Polski Ludowej. Prawda ta przeniknęła już do świadomości najszerszych

-wschodniej oraz z przystąpieniem w nich do budowy materialnych podstaw socjalizmu. Nie sposób bowiem przy ocenie charakteru źródeł i przesłanek jedności organicznej partii robotniczych nie zwrócić uwagi na pewne załamy w mutacjach doktrynalnych odnośnie pojęcia demokracji ludowej. W latach 1944—1948 dominowało rozumienie tej formy polityczno-ustrojowej jako okresu przejściowego między dwiema formacjami społeczno-ekonomicznymi, w niektórych zaś definicjach podkreślano wręcz jej jakościową odrębność w zestawieniu z systemem demokracji socjalistycznej. W 1948 roku formuła taka stopniowo została zarzucona u progu przejścia do budowy podstaw socjalizmu i zastąpiona nową, głoszącą, iż demokracja ludowa w istocie swej spełniała wszystkie funkcje dyktatury proletariatu. W grudniu 1948 r. Bolesław Bierut zaprezentował np. taką myśl: „demokracja ludowa nie jest formą syntezy czy trwałego współzycia dwóch różnorodnych ustrojów społecznych, lecz jest formą wypierania i stopniowej likwidacji elementów kapitalistycznych, a zarazem formą rozwijania i umacniania podstaw przyszłej gospodarki socjalistycznej”. („Nowe Drogi” nr 1/49). Ponieważ takie pojmowanie istoty demokracji ludowej zakładało kierowniczą rolę (jednej) partii klasy robotniczej, argument doktrynalny wzmacniał postulat urzeczywistnienia politycznej jedności tej klasy.

Wyrazem obiektywnie narastających potrzeb połączenia się organizacyjnego obu partii była uchwała podjęta na trzecim wspólnym posiedzeniu KC PPR i CKW PPS (4 kwietnia 1948 r.), zawierająca ustalenia o dużej doniosłości dla rychłego przygotowania i urzeczywistnienia idei jedności organicznej. A oto najważniejsze stwierdzenia tego dokumentu: a) praktyka jednolitego frontu dokonała zbliżenia obu odłamów polskiego ruchu robotniczego na płaszczyźnie ideologicznej, politycznej i organizacyjnej, w wyniku czego zaistniały realne przesłanki zjednoczenia się w szeregach wspólnej partii robotniczej wszystkich świadomych i aktywnych politycznie robotników na fun-

PS. Redakcja „Kamena” składa prof. dr. hab. Andrzejowi Burdzie serdeczne życzenia i gratulacje z okazji Jego 70-lecia urodzin!



# Wiadomości z Monachium

Ireneusz J. Kamiński



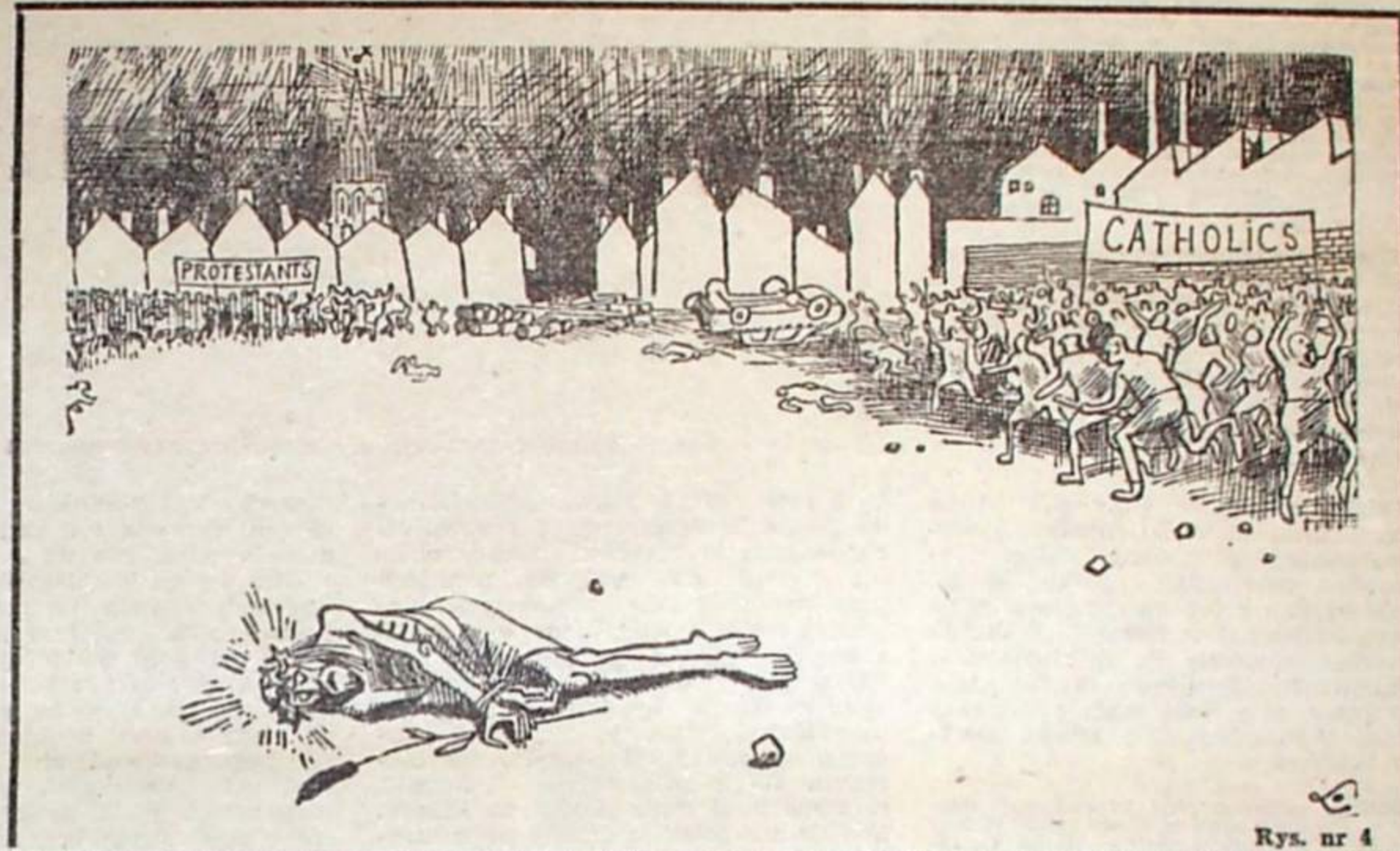
Rys. nr 1

**O**CZYM informują karykaturzyści z Monachium, których wystawę, jak wspominaliśmy w poprzednim numerze „Kamena”, otwarto 13 listopada w salonie „Szpilek” przy pl. Trzech Krzyży w Warszawie?

Luis Murschetz (ur. 1936) przypomina nam o sprawie zwyczajnej, ale właśnie aktualnej: że „Ludzie obchodzą święta Bożego Narodzenia” (rys. nr 1). Autor kilku książek dla dzieci, tłumaczonej nawet na japoński, rysuje na tę okoliczność choinkę, upstrzoną figurkami Mikołajów na gałązkach drzewka pokoju, którzy z widocznym zapamiętaniem podcinają to, na czym siedzą. Jeden z nich, osobnik chyba niecierpliwy i zupełnie pozabawiony złudzeń, miał pilnować gałęzie — po prostu przecina nożyczkami nitkę, która utrzymuje go w tej rzeczywistości, ozdobionej, dodajmy, dwiema bombkami w kształcie granatów. Ludzi bardziej przywiązanych do życia Murschetz informuje przecież, że istnieją metody, które pozwalają jakoś egzystować w świecie atomowym. Wystarczy po prostu oblać człowieka betonem i schować takie coś głęboko pod ziemię. Recepta to nieskomplikowana — jak grafologia rysunków tego autora.

Natomiast Erik Lieberman (1942), grafik prasowy i designer, uzmysławia nam, jak ludzie wierzący przygotowują się na Zachodzie do spotkania z Absolutem. Otóż wsiadają oni w samochody (rys. nr 2), zgodnie z dyspozycją znaku drogowego redukują szybkość do 10 km na godzinę, po czym powolutku, jeden za drugim, wjeżdżają w otwarte wierzaje sympatycznej świątyni, by po opuszczeniu przelotowego budynku dodać gazu, zgodnie zresztą z poleceniem wypisanym na tablicy stojącej przed kościołem: „Módl się i gnaj” (w językach niemieckim i angielskim). Tu także mamy do czynienia z opowieścią prostą, jak sam linearny, niemal techniczny rysunek.

Zbliżony wątek — drogi do wielkiego celu poprzez wewnętrzne i pospieszne oczyszczenie — znajdujemy w jednej z prac Olafa Dietera Klamy (1935), wybitnego twórcy filmów animowanych oraz licznych książek, w tym zatytułowanej „Potęga



Rys. nr 4

dużych i małych zwierząt”, a zaopatrzonej przedmową Helmuta Schmidta. Rysunek ten przedstawia tyralierę biegaczy, prących do finału na wielkim stadionie, który widnieje gdzieś w dali. Specjalna to jednak konkurencja: podporządkowana znakowi drogowemu „zakaz wyprzedzania” i regulowana przez policjanta, który pilnie baczy, by któremuś z zawodników nie przyszło do głowy wycofać się z zawodów. Jeden z nich umknął wszakże z tyralier — bezcelowo, bo już bieży za nim dwóch sanitariuszy z noszami, którzy ani chybi przypomną mu, co to jest ordnung. Tymczasem cały peloton zmierza do... kaplicy i dopie-

ro stamtąd (po otrzymaniu ostatniego namaszczenia?) rusza w kierunku stadionu (rys. nr 3). Owszem, w pierwszym rządzie Klama (geboren in Zabrze, Polen) pokpiwa z bezwzględnej reżimu, w jaki uwikłany został sport współczesny, ale czy przy okazji rysunek ten nie kreuje metafory o daleko poważniejszym znaczeniu? Oryginalny znak graficzny, do jakiego doszedł ten autor, także jest dwuznaczny: niby prosty w konstrukcji, a przecież wyrafinowany. Znamy zresztą Klamę z reprodukcji w prasie polskiej.

Ludzie pospiesznie oczyszczają się z grzechów, manifestują swą wiarę, ale czy zawsze pamiętają

## Bóle w lalkach

Anna Bocian

**S**WIAT lalkarzy jest powtórką z dzieciństwa, z tą tylko różnicą, że nie ma w nim pełni szczęścia. A jednak jest coś w tych lalkach, skoro powołuje się dla nich autorytety i aparaty naukowe i nawet okazuje się, że w lalkarstwie jesteśmy lepsi, niż ci z Zachodu. Jacy więc jesteśmy?

XI Opolski Festiwal Lalek pokazał, że jesteśmy średni; szczerze mówiąc, na co dzień żadni. Na szesnaście przedstawień — po raz pierwszy zgłoszonych przez teatry, a nie komisję kwalifikacyjną! — sześć było tak irytująco beznadziejnych, że nie dało się spać, sześć obojętnych, o czterech można mówić.

Mówiono głównie w nocy, w oparach alkoholu, dymu i absurdu. Szczególnie ostro startowali w dyskusjach studenci lalkarstwa kontra profesorem, którzy z dobrotliwym uśmiechem

odcinali kupony od dawnej sławy. Zdaniem studentów właśnie dzięki akademikom, teatr jest obecnie ze sztancy i nie staje się teatrem nieograniczonych możliwości formalnych. Jeżeli jest poprawny — świetnie, lecz bywa żenujący, czego dowodem może być przedstawienie z Torunia „Czolem, cześć i cicho sza”, sławnego niegdyś tandemu artystycznego Leokadii Serafinowicz i Wojciecha Wieczorkiewicza. Przedstawienie to zostało uhonorowane studencką nagrodą Największego Knota, podobnie jak spektakle: „Kaszubi pod Wiedniem” — ze słupskiej „Tęczy”, „Przygody Pędraka Wyżutka” — z „Banialuki” z Bielska-Białej, „Sesamie otwórz się” — z warszawskiej „Lalki”, „Burzliwe dzieje pirata Rabarbara” — z gdańskiej „Miniatury”. Przyszłość lalkarstwa w czasie nocnych kłótni malowała się w odcieniach czerni, ponieważ zarzutem dotyczącym przerabiania zdolnych w szkole studentów w sceniczne zakalce (np. „Tęcza” w Słupsku, „Bał Pomorski” w Toruniu), towarzyszyły oskarżenia o koniunkturalizm i brak

ducha bojowego młodych aktorów w macierzystych teatrach. Czym zaowocuje ewentualny bunt młodych — okaże się za dwa lata, na następnym festiwalu, jeżeli oczywiście nie wszyscy młodzi uciekną do teatrów dramatycznych i będzie urodzaj na Demiurgów, którzy bez względu na szarą rzeczywistość potrafią tchnąć duszę w lalki.

Wracając do festiwalu — główną nagrodę otrzymał teatr „Pleciuga” ze Szczecina, w sześć lat od ostatniego przyznania tej premii, za przedstawienie „Spowiedź w drewnie” i „Żywoty świętych”. I rzeczywiście było to wydarzenie, dzięki reżyserii Jana Wilkowskiego i Bohdana Głuszcza, scenografii Adama Kiliana oraz muzyce Jana Szyrockiego. Każdy z nich został nagrodzony w swojej specjalności, nagrody przypadły także aktorom, a widzowie wstali z miejsc bijąc brawa.

Pierwszą część przedstawienia „Spowiedź w drewnie” Jan Wilkowski zbudował w konwencji przedcepellowskiej ludowej naturalności. Temat został osnuty wokół grzechu wiejskiego świątkarza, który zamiast budzić bo-

gobojność maluczkich, jak zalecał proboszcz, wyrzeźbił gołą Kukaškę „co się gina” i co gorsze zrobił ją „na świętą Magdalenkę”. Odstępstwo artysty od oczekiwań zleceniodawcy — potępione przez pyskate święte i zawścickłych świętych, a tolerowane przez zbyt pobłażliwego Frasośliwego — było przyczyną jarmarcznej awantury i stało się metaforą zmagania artysty nie tylko z tworzywem, ale i światem. Problem niby stary, jednak w odkrywczym prostocie animacji — został postawiony w nowych barwach i subtelnościach. Podobnie było w drugiej części przedstawienia, w której do opowieści o żywotach świętych, według ludowego rzeźbiarza i gawędziarza Jędrzeja Wewry, zastosowano nadmarionety. Wy-smakowana scenografia w stylu malarstwa na szkle, połączona z opowiadaniem gwarą apokryfami przynosiła rozrzucającą naiwne sytuacje, gdy na przykład święty Józef, zanim wydarzył się zwiastowanie, wykrzykiwał „Jezus, Maria, Józefie Święty”, a grabarze wykopujący czaszkę potrzebną świętej Magdalenie do pokuty, śpiewali godzinę. Dzięki pantomimicznej kurateli Bohdana Głuszcza „Żywoty” skrzyły się dowiecipem sytuacyjnym, markowanym niezwykle oczywistymi ruchami. Nie bez powodu przyznano specjalną nagrodę Janowi Szyrockiemu za muzyczne przygotowanie zespołu, składającego się z absolwentów szkoły białostockiej i wrocławskiej. Całość była triumfem prostych środków i prostych pomysłów, perfekcyjnie ze sobą zgranych. Można powiedzieć, że to wszystko, a jednak aż tak wiele!

Podobny efekt oszołomienia publiczności prostotą wyrazu udało się uzyskać Maciejowi Tonderze (ostatnio reżyserował w Lublinie „Bezceństwa

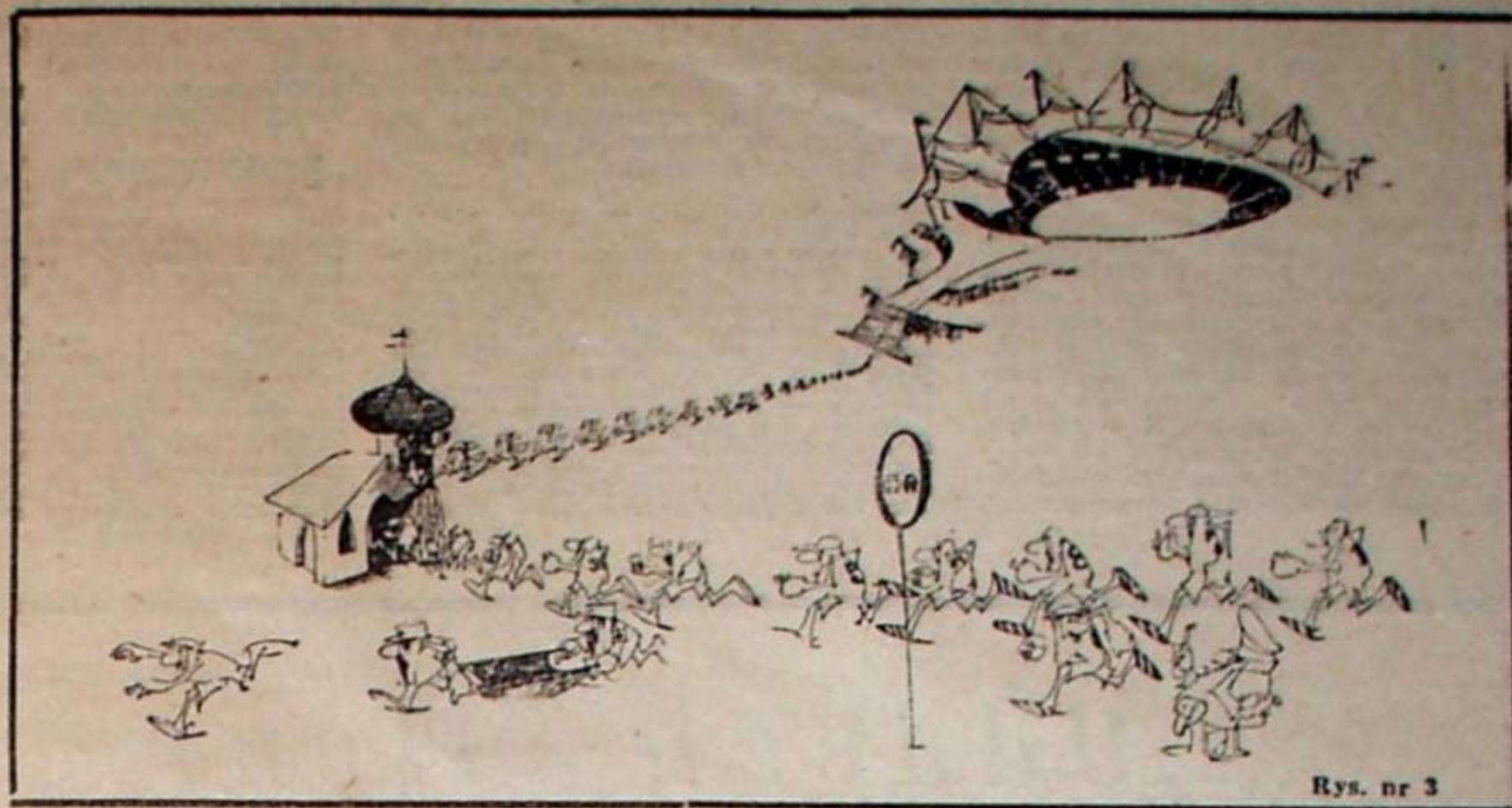


Rys. nr 2

o Bogu? Ernst Maria Lang (1916), wybitny architekt, z powodzeniem uprawiający karykaturę, przypomina w odpowiedzi tragiczne wydarzenia z 16 sierpnia 1969 roku w Irlandii Północnej. Oto jego rysunek (rys. nr 4): rozwścieczony tłum z transparentem „Catholics” naciera na równie rozbuchany tłum z transparentem „Protestants”, kompletnie nie zwracając uwagi na powaloną, leżącą na pierwszym planie rozległego placu postać Chrystusa, wokół której widnieje kilka kamieni. Odkupiciel ukamienowany przez ludzi w imię abstrakcyjnej idei Boga?

Święci Mikołaje nie pojmują już tego świata i sposobią się do zbiorowego samobójstwa. Realnością jest dla nich to, co dla Anioła Pokoju — narysowanego przez Franziskę Bilek, nestorkę karykaturzystów monachijskich i wieloletnią współpracowniczkę słynnego „Simplicissima” który „skapitulował” w 1967 r. — było zaledwie lekliwym przeczcuciem. Otoczony arsenałem pocisków armatnich (kto dziś mówi o takich pociskach?!), bomb lotniczych i czołgów, przyczepiony trwoźnie na skrzynce i chroniący gałązkę palmową na kolanach, Anioł z 1958 roku szepce: „Nie wiem — teraz to już nie stać się nie może — wszystko zrobiono, co było w ludzkiej mocy... a ja jednak boję się...” (rys. nr 5).

Poza tym karykaturzyści z Monachium, wypełniający swoimi rysunkami łamy wielu poważnych lub popularnych gazet oraz czasopism, informują nas, że mają poczucie humoru, potrafią pokpiwać z Franza Josefa I von Bayern (Horst Haitzinger, 1939), z bogatych Amerykanów (Josef Blaumeiser, 1924), z metod likwidowania deficytu budżetowego w RFN (Pepsch Gottscheber, 1946), nie stroniąc zarazem od notowania spraw i sytuacji tyle codziennych, co śmiesznych (Klaus Pause, 1926), albo też takich, które ocierają się o surrealizm: swawolny i mroczny (w czym celuje Papan, urodzony w 1943 roku, były pomywacz tancerzy, boy



Rys. nr 3



1958

Rys. nr 5

hotelowy, rekwizytor, bagażowy i stróż nocny, informujący nas ponadto, że: „Dotychczas nie miał stosunku z Amandą Lear ani z Davidem Bowie”. Przybliżając Państwu tylko jeden z głównych

wątków wystawy monachijskiej, kierowałem się przekonaniem, że wobec zbliżających się świąt Bożego Narodzenia uznacie go za najbardziej aktualny.

pana Klaus”), w przedstawieniu „Co wam powiem, to wam powiem” Teatru Lalek „Rabco” z Rabki Spektakl ten, oparty na tekstach Kazimierza Przerwy-Tetmajera napisany gwara góralską, wykonany przez prawdziwych góralskich, był po góralsku konkretny i dosłowny. Tondera dostał nagrodę za reżyserię, scenografię, aktorzy też za swoje. Publiczność również wstała i biła brawo, a studenci, dla których zabrakło biletów wrzeszczała za drzwiami. Tondera Tondera Lalki — toporne tulubki, scenografia ograniczona do niezbędności, fabuła prosta: diabeł zamienia się na rolę z chłopem który ma tak szczekawa babę, że woli pętlę z powroza. Choć sceny są dość dosadne, w warstwie językowej gwara chroni je przed wulgarnością, a dowcip inscenizacyjny całkowicie zaspokaja ciekawość widza (na przykład aktor zasłania sobą łódkę gdzie diabeł zwręta babę” grzecznie zawiadamiając: „i robi co trza”). W drugiej części spektaklu pod tytułem „Pan Jezus z Pietropawłem i zbojcy” Maciej Tondera wsadził ceremonialną zależność lalki od dziecka pokazaną przez nabożne przenoszenie figurki Pana Jezusa. Podobnie w scenie z sądem wyanimowanym na wyschłego grochowinami balwana, którego ręce stają się głowami pozostałego składu sędziowskiego, zastosował dziecinnie łatwo uproszczeń, byle zabawa szła dalej. W ten sposób naukowo mówiąc Tondera ożywił ideogram, a zwyczajnie — z myślenia o lalkach wydobyl perelkę i ze smakiem pokazał ją. Jak mówiono w dyskusji, trafił w emocjonalne zamówienie widzów, znuczonych codzienną szarością i rozmywaniem oczywistych prawd.

Przedstawienie Macieja Tondery dało publiczności jeszcze jeden powód

do satysfakcji: występujący w żywym planie aktorzy byli przedłużeniem życia lalek i odwrotnie: dzięki lalkom uzasadniona była ich obecność. Było to jedyne przedstawienie, w którym oba plany splatały się ze sobą i dopełniały się. Podobnie w uzasadniony sposób używał żywego planu Włodzimierz Felenczak (przezwań go żywo-ródką z powodu łatwości inscenizacyjnej, owocującej liczbą przedstawień), który w spektaklu Słowo i inni — nawet zmarnionetyzował aktorów. Widownia wstała z miejsc na innym przeciwieście przedstawienia — „Wio, Leokadio” Joanny Kulmowej. Jak twierdzili prześmiewcy było to klimatyczne zauroczenie Felenczaka młodością i wynikiem chorobliwej zachłanności widza na wszystko co śmieszne ale musical jest musicalem, nawet jeżeli ktoś spodziewał się więcej poezji i nie chciał rytmować ramionami w takt nagrodzonej resztą muzyki. Poza tym tekst Kulmowej o zwirowanej i romantycznej, chociaż dość przechodzonej szkapie dorozkarskiej, miał niezaprzeczalne wdzięki płynące z trochę smutnych spostrzeżeń społecznych. W smutnym przedstawieniu udane zwłaszcza dzięki odtworzeniu głównej roli, która przydała kobyle tyle ognistego wigoru, że można mieć wątpliwości, czy szkapia Leokadia nie została wysłana na przedczesną emeryturę.

Ewenementem opolskiego festiwalu był występ Nieinstytucjonalnego Teatru Zawodowego „Wierzbak” z Poznania, którego aktorzy od pierwszego dnia wpadli w oko z powodu luksusowej garderoby, ostro kontrastującej z wyściganymi swetrami i rozkładanymi, przynajmniej seszlorocznymi butami. Straż „Wierzbaka” potraktowano jako przejaw sukcesu finansowego wyzwo-

lonego zespołu, robiącego teatr według własnego gustu i czucia. Niewyukzone również, że formuła teatralna „Wierzbaka” wzięta ze szkolnych etiud polegających na animacji przedmiotów, da początek nowemu trendowi w lalkowych inscenizacjach.

We wszystkich bajkach opartych na andersenowskich motywach (na przykład o świniopasie księżniczce na grochu i głupim Jasiu) „Wierzbak” korzystał jedynie z trzech rekwizytów: surduta, rękawiczki i jednego buta. Ku radości dzieci rękawiczka raz była księżniczką, raz księciem a raz bratem, co w pełni zadawało dziecięce poczucie humoru, płynące z zaakceptowania umowności. Zachwycone małolaty twierdziły w kuluarach, że u „Wierzbaka” było lepiej niż w kinie, bo można było się pośmiać.

Zaryzykuję twierdzenie, że spektakle Tondery, Felenczaka oraz ludzi z „Wierzbaka” miały w sobie drożdże, dzięki którym po rażącej fermentacji, wkrótce obejrzymy fajerwerk daleko odbijające od akademickiej poprawności i układności. Oby ponieważ pokazane przedstawienia, uhonorowane trzecimi nagrodami za reżyserię (drugiej nagrody nie przyznano), takie jak „Lodowiska” z łódzkiego „Arleki-na”, obyły się co prawda bez większych zarzutów, ale i bez zachwytyw.

Jak na festiwalu wypadł teatr lubelski? Otóż nie dostał żadnych nagród: ani od jurorów ani — i bardzo krytycznych studentów. Mówiono o nim, że był wysmakowany i intelektualny, ale przydługi i jakby rodzony na krze lodowej. Rozważania nad lubelskim „Amorem Divinusem” posłużyły do obrony przedstawień dla młodszych, którzy wolał myśleć niż się wzruszać. Słowem bronili prawa do różnorodności, niekoniecznie niosącej blask

metafizyczny. Fakt, że w Opolu publiczność tylko czekała na takie bliski jest bezsporny. Wstawano z miejsc z rękami pełnymi braw, nawet jeżeli trzeźwy obserwator był zdania, że entuzjazmem nagradzono po prostu przyzwolity, a nie genialny spektakl. Płynię stąd jeszcze inny wniosek, odbiegający nieco od spraw festiwalu: widać żyjemy bardziej emocjonalnie niż umysłowo i niewątpliwie jest to szczególny symptom naszego czasu.

Na koniec trzeba powiedzieć o złych przedstawieniach, które w codziennej rzeczywistości teatrów lalkowych przyzwyczajają dziecięcą wyobraźnię do miłośkości, bylejakości i bzdury. Oczywiście, że dla dzieci robi się najtrudniej i nie przypadkiem pierwszymi nagrodami opatrzone spektakle dla widza dorosłego, ale mimo ambicji teatrów lalkowych, sięgających a nawet przerastających ambicje i możliwości teatrów dramatycznych — nie wolno po to zapraszać dzieci, żeby traktować je jak ogłuszone debilki. Dzieci trzeba traktować poważnie i wstydzic się dyotyzmów artystycznych, a zwłaszcza nadużyć moralnych. Na festiwalu opolskim oha grzechy były bezwzględnie nie zaprezentowane: zarówno kieci i tandeta (w przedstawieniach „Kasia z czekolady” i „Burzliwe przygody pirata Rabarbara”) jak i fałsz historyczny (spektakl „Czolem, cześć i cicho sz”).

Tak się akurat stało, że widownia festiwalowa w większości wypełniła stare konie znawcy i konserwatyści sztuki lalkowej. Cała nadzieja w ich przytomności i dowcipie bo co prawda dzieci nie potrafią się bronić, ale swoje wiedzą.

**N**IE jest przypadkiem, że ostatnia książka, jaką napisał Jalu Kurek, to „rzecz o umiarności” Siedem lat temu przeżył zawał mięśnia sercowego. Doznał Pierwszego Dotknięcia i chociaż od dawna wiedział, że „czas to nie trwa, lecz uciekanie”, choroba wyzwoliła w Nim potrzebę głębszych refleksji na temat sensu życia i odchodzenia. Wprawdzie pracował jeszcze normalnie, ale widocznie już ponad siły. Serce, o którym tak często pisał w swojej poezji, coraz bardziej było zmęczone.

Aż nadeszła „Godzina X — smutna, niepowtarzalna przygoda”.

Śmierć Jalu Kurka jest nie tylko odejściem na zawsze znanego pisarza,

młodości, choć niejednokrotnie stawali w kolizji z licznymi jego założeniami, nie zmienia to faktu, że wiele z tych zmagani, hasel, wypowiedzi stało się zaczynem dla tożsamości poetyckiej późniejszych generacji.

Wprawdzie wpływy i przenikania nie zawsze dokonywały się na zasadzie akceptacji, czasem raczej wyraźnie poprzez negowanie programu awangardy, wprawdzie awangarda krakowska nie była jedyną w latach międzywojennych grupą, która wprowadzała do poezji i teorii poezji elementy nowatorskie, umieszczając się w częściowej opozycji do spadku przeszłości, wreszcie nie była też konsekwentna w przekładaniu języka teorii na język poetyckiej praktyki, niemniej z całą pewnością wolno stwierdzić, że obraz dorobku dzisiejszej polskiej poezji bez istnienia krakowskiej awangardy wyglądałby całkiem inaczej. Świadom tego był Jalu Kurek, gdy w zbiorze esejów „Zmierzch

Wszystkie te fascynacje wkraczały do twórczości literackiej jako tematy, problemy, motywy, a nawet jako elementy kształtujące formę utworu.

Krytyka zawsze miała kłopoty z zakwalifikowaniem twórczości Jalu Kurka, która nie mieściła się w jednej, wygodnej szufladce i często wywoływała istne burze jak było w przypadku ukazania się powieści „Grypa szaleje w Naprawie”. Mimo to gdy odczytujemy dzisiaj głosy krytyków i recenzentów, wylania się z nich sylwetka twórcy dość jednorodnej: osobowość pisarza bardzo ciekawego, otwartego na współczesność, ale i na tradycję, na polskość, ale i na europejskość, pisarza impulsywnego, który chciał (choć nie zawsze potrafił) narzucić własnemu warsztatowi rygoru wynikające z programu awangardy, lecz który przede wszystkim pragnął być sobą. Z tego właśnie pragnienia wywodzi się swoisty „dramat” Kurka: rozbieżność, rozdarcie między programowymi założeniami awangardzisty-teo-

przewija się on bowiem przez całą twórczość Kurka, od jej początków aż do końca, jak ciemna nić. To konflikt między techniką a naturą. Trzy M awangardzisty z wyboru nigdy nie napawali entuzjazmem człowieka rozkochanego w bogactwie i pięknie przyrody. Z biegiem lat i w miarę pogłębiania się twórczości ta ciemna nić stanie się niemal obsesją i rozwinie się wyraźnie jako bolesna świadomość, że natura padnie kiedyś ofiarą „technicznego świata”, że człowiek sam podetnie gałąź, na której siedzi, że spłunie do źródła, z którego za chwilę będzie pił. Czy daleko jesteśmy od tej wizji przedpiekła? O tym, jak bardzo fascynował i niepokoił Pisarza ów problem, świadczy fakt, że wpręgął go i do poezji, i do prozy.

Urodzony i wychowany w Krakowie, silnie wrośnięty w to miasto (aż po śmierć), był twórcą, u którego często pojawiał się, jeśli nie dominował, temat wiejski. Wynikał z pasji społecznika, z potrzeb publicysty, ale także z osobistych, przez matkę, powiązań ze wsią. Był też może rodzajem duchowej ucieczki awangardzisty i „syna Krakowa” do prawdziwej i jednocześnie podniesionej do rangi symbolu, Naprawy Wsi, w której na węglach matczynej chałupy z uporem, niemal do śmierci, budował Pisarz własny dom — aży! Obiecywał przecieć:

Przysięgam na sosną zgruchotaną  
wicherą,  
pojadę do Naprawy.  
Choćbym po drodze umarł, pamiętajcie,  
dojadę do Naprawy.

Bo Naprawa to góry, a więc wspinięcie się i mozolne pokonywanie „gorzkiego poziomu”. W świecie istniejącym czy powołanym do życia w słowie? Znamienne i wieloznaczne jest zakończenie wiersza „Najkamienniejsze”:

Synku,  
pamiętaj mnie jak zawsze  
pochylnego  
w drodze do wierzchu.

Niemożliwością jest odpowiedzieć na pytanie, czy u schyłku życia był pewien, że osiągnął ów wierzch. Wcześniej, powołując się na Camusa, wspominał przecieć także o „szczytce przepaści”. Są to jednak rozrachunki wewnętrzne, jakich musi dokonać każdy myślący człowiek. Dla czytelnika pozostają faktyczne dokonania twórcy, w przypadku Jalu Kurka dokonania niemałe. Czas oceni szczęśliwie dorobek Pisarza z Krakowa, o czym niezawodnie świadczą znikające z półek księgarskich liczne wznowienia jego książek. Zarliwość społecznika i moralisty, pragnienie utrzymania żywych kontaktów z czytelnikiem (te niezapomniane spotkania autorskie) i z człowiekiem w ogóle, pragnienie uczestnictwa w życiu kraju, wiara w moc pisarskiego słowa, emocjonalność i liryzm, wszystko to tworzy trwały most między Pisarzem a odbiorcą jego twórczości. Pozwala też wysnuć optymistyczny wniosek, że pytanie postawione niegdyś w wierszu „Drzewo i człowiek” pozostanie tylko zwrotem retorycznym:

I ptak przestanie śpiewać,  
Ja też przestanę.  
Czy śpiew mój przetrwa życie drzewa,  
przebieje wieko trumienne?

## „Oddech uleci pozostanie kształt”

Elżbieta Cichła-Czarniawska

autora książek, które zachwycały lub gniewały zarówno krytyków jak zwykłych odbiorców, ale nigdy nie przechodziły nie zauważone. Miał Kurek swoich zaprzysiężonych czytelników i wielbicieli, miał też wrogów — zwykła to sprawa w życiu ambitnego twórcy. Oficjalny komunikat telewizyjny z 11 listopada br. głosił, że kultura polska poniosła ogromną stratę. Nie można tych słów przyjąć jedynie jako stwierdzenie faktu, iż zmarł autor ponad pięćdziesięciu książek, poeta, prozaik, tłumacz, eseista, dziennikarz. To wszystko prawda, bardzo istotna jest jednak świadomość, że wraz ze śmiercią Jalu Kurka (warto zresztą przypomnieć, iż rok 1983 nie oszczędził dawnych awangardzistów: kilka miesięcy wcześniej zmarł Jan Brzękowski od lat zamieszkały we Francji) zamknęła się w sensie personalnym epoka, której znaczenia trudno nie docenić.

Był przecieć Pisarz współtwórcą awangardy krakowskiej i wydawcą „Linii”, pisma propagującego i niejako przedłużającego artystyczny i teoretyczny program „Zwrotnicy”. Był jednym z awangardowej czwórki (Tadeusz Peiper, Julian Przyboś, Jan Brzękowski, Jalu Kurek) która wywarła niewątpliwie wpływ na dalsze dzieje polskiej literatury. Bo chociaż okres głośnych literackich bojków minął dawno, wojujący pod wodzą „papieża awangardy”, Peipera, wyznawcy nowych hasel jeszcze za swego życia zrewidowali i skorygowali własne poglądy na program przyjmowany w

natchnienia?” wydanym kilka lat temu, dokonał próby spojrzenia na sprawę poezji najnowszej. Uczynił to, odwołując się do programu budowanego w młodości. „Historia awangardy jest dla mnie o tyle ważna, o ile jest jeszcze żywa, aktualna i potrzebna” — pisał we wstępie.

Mimo woli, wspominając twórcę dorobek Pisarza, obracamy się głównie w kręgu wtajemniczeń poetyckich. Nie jest to zbieg okoliczności: Kurek sam przecieć wyznał, że czuje się przede wszystkim poetą: „Najpełniej wyrażam się w akcie nagości wewnętrznej, jakim jest poezja, w płomieniu spontanicznym, nie powściągniętym interwencją”. „Można się wyczerpać z inwencji i zasobów sztuki pisarskiej, przestać pisać powieści, ale poezji nie wyprujesz z żył, choćbyś nawet przestał tworzyć” — wyjaśniał w książce wspomnian „Mój Kraków”.

A jednak była to osobowość twórcza niezwykle bogata, o czym świadczą różnorodność form wypowiedzi. Pisał liryki i poematy, powieści fabularne mocno osadzone w tradycji i powieści nowatorskie bulwersujące krytykę. Był autorem opowiadań, dramatycznych, reportaży felietonów, esejów, wypowiedzi teoretycznych nie tylko na tematy poezji. Tłumaczył z języka włoskiego, miał duże zasługi w przyswojeniu polskiej kulturze części dorobku włoskich futurystów. Ale oprócz literatury interesowało go wiele innych dziedzin: film, teatr, radio, publicystyka nawet moda. W młodości malował. Uprawiał sport. Wedrował po ukochanych górach. Wrażliwy był na zjawiska z pogranicza historii i polityki. Urzekala go geografia i natura.

retyka, a twórczą samorealizacją pisarza spontanicznego. Określano go jako „awangardzistę nieprawomyślnego”, „heretyka awangardy”, „najbardziej kontrowersyjnego poety awangardy”. Istotnie, jego dorobek sensu strictly literackiego nie był nawet w młodzieńczym okresie twórczości bezwzględny



Jalu Kurek

podporządkowaniem się postulatom współpracownikom w kuźni Peipera. Stanowił natomiast oryginalny stop różnorodnych kierunków poezji i prozy awangardowej.

Na jeden przynajmniej element owego „dramatu” warto zwrócić uwagę,

# DWA MIGDAŁY

## Roparz Hemon

**S**ADZĘ, że on się podoba Joannie — rzekła matka Rogera.

— I ona też mu się podoba. Może więc ożenimy Rogera z Joasią? — padło niedwuznaczne pytanie matki Joanny.

Obie mamusi przegadały całutki wieczór, ale o miłości, którą syn jednej z mam podobno darzył córkę drugiej mamusi, nawet przy pożegnaniu nie powiedziały ani słowa. A przecieć to musiało im najbardziej leżeć na sercu...

Mama Joanny w ogóle nie poddawała w wątpliwość szczerości uczuć. Chodziło bowiem o coś najzupełniej oczywistego. Od dnia, kiedy jej córka skierowała wzrok na chłopca, zachowanie Joasi uległo wielkiej zmianie. Ciągłe szukała pretekstu, by się spotkać z Rogerem. Doszło wręcz do tego, że zaczęła wspominać o wyjeździe, o studiach w Paryżu... A jeszcze nie tak dawno temu wcale się nie chciała uczyć. Przyczyną tej zmiany stał się z pewnością pobyt Rogera w Paryżu.

Mama Rogera nie była natomiast przekonana o głębi owych uczuć. Prawdę mówiąc, chłopiec nie przejawiał skłonności do opowiadania o swoich sprawach. Widziano go parę razy z Joanną na prze-

chadźce, choć umawiał się z innymi dziewczętami. Matka pytała go kiedyś, czy kocha Joasię. Nie odrzekł, że nie kocha, ale też nie powiedział, że kocha. A zresztą byłoby to bez znaczenia. Dla obu rodzin nie istniało nie ważniejsze, jak tylko połączyć dzieci węzłem małżeńskim. Ojciec Rogera był sędzią, a ojciec Joanny — lekarzem. Lekarzem miał zostać Roger. Im wcześniej będzie ślub, tym lepiej. Zatraskany mamusiom kamień spadnie z serca. O ileż to łatwiej znaleźć męża młodej dziewczynie, niż ją nauczyć zawodu. Z młodzieńcami bywa podobnie, tzn. nigdy nie wiadomo...

Zbliżał się Nowy Rok. Deskonale by się złożyło, gdyby tak ich skojarzyć w lipcu, kiedy Roger kończył zdawać egzaminy. Teraz nadszedł moment sprzyjający zorganizowaniu zaręczyn. Roger przyjechał do domu na ferie zimowe, lecz niebawem wraca do Paryża. Nie ma zatem czasu do stracenia.

O takich właśnie sprawach dyskutowały owego wieczoru obie mamusi.

— W niedzielę na Trzech Króli przyjdziecie do nas na kolację — dodała matka Joasi — i wtedy zobaczymy.

Powiedziawszy to, znacząco się uśmiechnęła, gdyż pewien świetny pomysł akurat wpadł jej do głowy. Po wyjściu mamy Rogera nadal się uśmiechała, mimo że z powodu wracania do domu o późnej porze czekała ją jeszcze kłótnia z mężem.

Wspaniały pomysł polegał na upieczeniu wielkiego piernika. Z okazji święta Trzech Króli zawsze się czyje piernik z migdałami. Jeżeli migdał przypada chłopcu, jemu się doбира królową, a je-

## Jerzy Harasymowicz

### BALLADA NA ŚWIĘTA

Co to za kurzu chmura  
nad Kijowem wstała  
to nasz hetman Sahajdaczny  
tak konie przegania

Ej Boże Boże — daj Boże  
bujne konie przeganiać

Konie w darze dane i zdobyte  
nieba derką niebieską pokryte  
w warkocze czesane serafińskie  
na majdanie konie wszystkie

Ej Boże Boże — daj Boże  
czesane w warkocze

Złoty koń spod cara  
jedwabny spod sultana  
pod pióropuszem spod króla  
pancernymi nogami hula

Ej Boże Boże — daj Boże  
tak nogami hulać

Sahajdaczny Piotr Konaszewicz  
jak sam polski Władysław  
Królewicz  
pośród koni sobie przebiera  
na ławeczce na wzgórzu  
z cerkwiemi zasiada

Ej Boże Boże — daj Boże  
z cerkwiemi tak wysoko  
zasiadać

Pod ikoną siedzi modreńka  
wypoczywa rok cały ma święto  
nawojował się wiele  
Carogrody w popiele

Ej Boże Boże — daj Boże  
Carogrody w popiele

Konie z nieba święty Michał  
wiedzie  
koń ten zrzuca jak gwiazdy  
mołojców  
na majdanie zrzuca kijowskim

Sahajdaczny z ławki powstaje  
i wszystkie cerkwie powstają  
i do konia wesoło przemawia  
złotą grzywą wesoło wystawia

Ej Boże Boże — daj Boże  
wszystkie cerkwie powstały w  
całym mieście Kijowie

Bohorodycia hetmanowi  
błogosławi  
diamentowe ma ręk patyki  
i rękami tymi błogosławi

Niecierpliwł się rzał  
koń w gwiazdy nakrapiany  
w jedwabnej sukni z gwiazd

Ej Boże Boże — daj Boże  
diamentowe ręce  
nie kradzione

Jak już w stepy Sahajdaczny  
wpadł  
w lany trawy Suchowieja  
nie po chmurkę trzepotliwą  
pod burzanu butawę krzywą  
Sahajdaczny z mołojcami gnał

Ej Boże Boże — daj Boże  
nie po chmurkę trzepotliwą  
jak ptaszek

Tylko po Carogród miasto  
i po żonkę dwunastą  
wyjechał Piotr Konaszewicz  
na rumaku z gwiazd

Ej Boże Boże — daj Boże

I jemu  
I nam...

### BŁEKITNA SOTNIA

Bezlistne grabiny  
czarne tyki  
tyczyzna

Z rytmu drzew  
już wszystko  
cwałować zaczyna

Błękitna  
samotna  
z listkiem  
krwawym  
w jary  
w chmury  
leci sotnia

Z koni  
pospadali  
mieli zdobyć  
działa

W powietrzu  
latali  
trzepotała  
sława

Jeszcze tylko  
lulką  
w strzemionach  
się spięli

I śpiewali  
spadali  
i śmiewali  
bo im grali  
i spadali  
na wieki

Z dymu  
konie wyszły  
jakby  
do muzyki

Same  
bez Kozaków  
i bez jednej  
piki

I tabak  
zostawili  
i wysokie  
siodło

Może im się  
w chmurach  
będzie lepiej  
wiodło

Bezlistne grabiny  
czarne tyki  
tyczyzna

Z rytmu drzew  
już wszystko  
cwałować zaczyna

### ZAMIEĆ

Z zamku nad stepem  
co się wyloni  
Czy Tato jadący na Kijów  
w dwudziestym roku

Tato na bluzie przywiózł  
krzyżyk kijowskiej cerkwi  
trzy rany lekkie  
ciężkie milczenie

Kto się wyloni  
— czy ja  
wronę wiersze  
w świętym rejestrze

Czy tylko ujrzy świat  
sławy przodków  
kurhan gwiazd

Z kurzawy nad stepem  
ktoś się wyloni  
czyj  
jaki

Podgolone wichrem  
płomieniste  
szepczą bodiaki

Już w kurzawie — widać  
rozwiane burki  
twarzy zarus  
buńczuki!

Już dolatują  
słowa skrzydlate!

Już zerwały się  
kruki!

### PRZY ŚWIĄTECZNYM STOLE REFLEKSJE NAD PANCERZEM

Nie na nagrobku leży  
marmurowym  
po pańsku na łokciu podparty  
z nogą zgiętą w kolanie

Pancerz leży w stepie gołym  
w trawie na płachcie z błękitu

Nad czym tak duma  
z konia zwałony w piołunach

Czy dobre imię  
zostawił na Ukrainie  
której się wyparł  
jak bosej Matki na ulicy

Rozepchnął rumakiem poddanych  
smagając braci nahajką pogardy

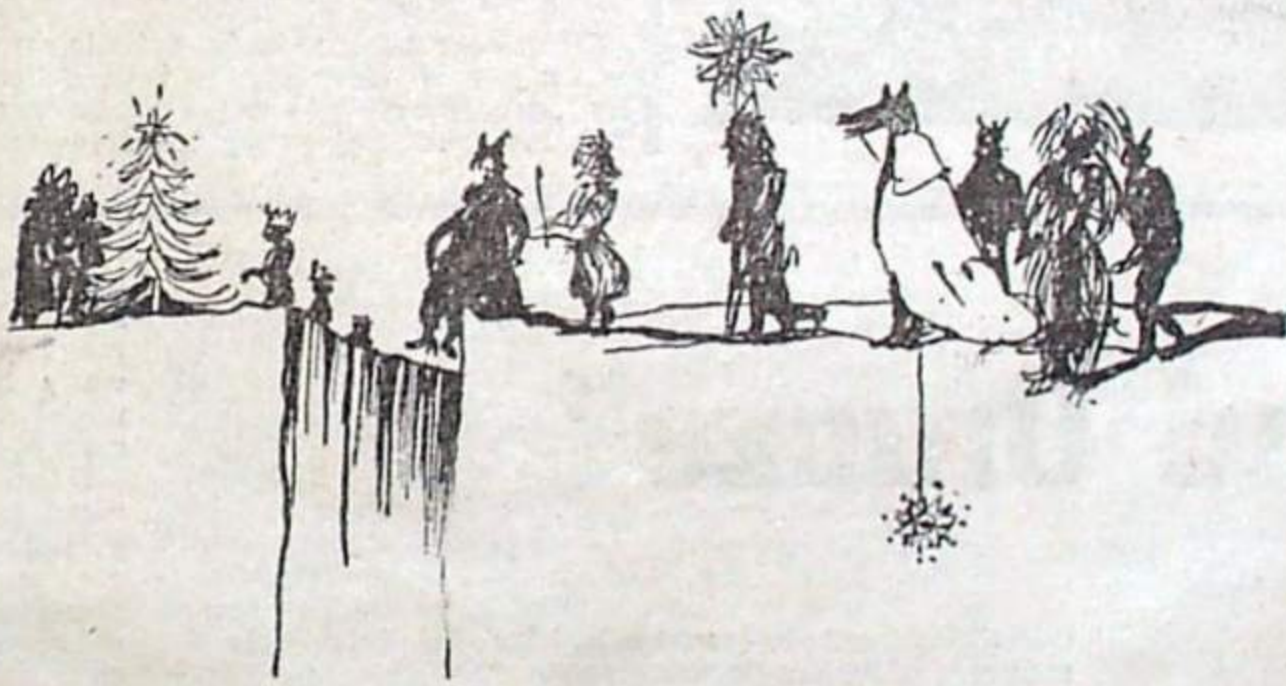
Nad czym tak duma  
z konia zwałony w piołunach

Czy nad tym kim jest w Polsce  
swym drugim domu

Który go wygnał  
nikt nie poświadczył za nim  
w mroku dworu gaszono  
świece znajomości

Nad czym tak duma  
z konia zwałony w piołunach  
pancerz nazwany  
przez zawodzące czajki  
kuliki  
Jerzy Niemirycz \*)

Rys. Andrzej Bronikowski • Sławny ród Niemiryczów na Ukrainie.



śli migdał znajduje dziewczyna, wówczas jej się  
wybiera króla.

A zatem wszystko jest jasne. Zamiast jednego  
tylko migdała, będą ich w cieście dwa. Ponadto  
umieści się je tak, aby jeden trafił się Rogerowi,  
a drugi — Joannie. Można to nazwać oszukań-  
stwem, choć nikomu ono nie zaszkodzi.

Ośmiolatek Lolek, synek-benlaminek, pouczony  
został, że jeśli go ktoś zapyta: „czyja to porcja  
piernika... a ta... a tamta...” ma się odwrócić plecami  
i odpowiedzieć nie to, co miałby chęć powie-  
dzieć, ale to, co mu kazano mówić mamusia. Mama  
osobiście ukroi porcję piernika. Widzimy zatem, że  
nie ma nic łatwiejszego: w prosty sposób Roger  
zostanie królem, a Joanna — królową. Pół żartem,  
a pół serio odbędzie się uroczystość zaręczyn. A co  
najważniejsze, będą przy tym obecni rodzice Ro-  
gera. I to by było na razie wszystko.

Ojcu Joanny pomysł przypadł do gustu. Zyskał  
również uznanie tatusia i mamy Rogera. Rodzeń-  
stwu Joasi nakazano trzymać język za zębami, lecz  
oczywiście żadne nie wytrzymało, żeby się przed  
nią nie wygadać. Roger nie miał braci ani siostry  
i tylko dlatego o niczym się nie dowiedział.

Na świąteczną wieczerzę oprócz domowników  
poproszono wyłącznie najbliższą rodzinę: dwóch  
dziadków, dwie babci, dwóch kuzynów, dwie ku-  
zynki oraz szwagierkę mamy Joanny, Filomenę,  
czyli — jak mówili dzieci — ciocię Filo. Była to  
bardzo biedna ciocia. W dzień Trzech Króli zawsze  
się jednak gości kogoś biednego. Jak wiadomo,  
przynosi to szczęście.

Wszystkim zebrany wyśmienicie dopisywały  
humory. Rogera posadzono obok Joanny. Kiedy na-  
deszła pora krawania piernika, mama Joasi nie mo-  
gła się powstrzymać, żeby chociaż kątem oka nie  
spojrzeć na mamę Rogera. Lolek odwrócił się plecami  
i piernik podzielono jak należy.

— Ja jestem królem — oznajmił Roger, wyjmując  
migdał z ust.

— Wybierzmy więc królową! — uradował się  
jeden z dziadków.

— Ależ nie, zaczekajmy jeszcze chwileczkę —  
przestraszyła się mama Joasi — do piernika wło-  
żyłam dwa migdały!

Większość spojrzeń zwrócono na Joannę, która  
swoją porcję zjadała po kawaleczku, ostrożnie i po-  
woli, gdyż przyjemności trzeba przedłużać.

Wtem rozległ się krzyk.

— Ach, mój ząb!

Wszyscy popatrzyli na ciocię Filomenę. Biedaczka!  
Twarz pozołkła i wychudzona, czepek niezmiennie  
przekrzywiony na czterech kosmykach zakręconych  
włosów, czarny kaftanik zawsze postarzony dookoła  
rękawów. Niewiele brakowało, a byłaby sobie  
wylamała dwa spośród pięciu (a może sześciu?)  
pozostających jej zębów. Migdał zdołała jednak  
wydlubać.

— Należcie wina dla królowej! — ucieszył się  
dziadek — I wina dla króla!

Następnie napełniono kieliszek Rogera oraz kie-  
liszek cioci Filomeny.

Mama Joanny śmiertelnie pobladła na twarzy,  
zaciśnęła usta i znieruchomiała. Mama Rogera i

Joanna smętnie zwiesiły głowy. Wszystkie trzy zro-  
zumiały, że zaszła rozzdzierająca serce pomyłka.

Ciocia Filomena, którą wina na dobre rozochocilo,  
podniosła się, zaczynając śpiewać:

— „Mam ci ja narzeczonego w Landerne...”\*

Strasznie fałszowała, a jej drżący głos wprawiał  
słuchających w przerażenie.

Piosenka zrobiła się nadzwyczaj długa, ponie-  
waż ciocia nie pamiętała połowy zwrotek i nie  
wiedziała, gdzie był właściwie koniec, a gdzie po-  
czątek...

Kiedy nareszcie usiadła, rozległy się nikle okla-  
ski. Wesoły nastrój prysnął bezpowrotnie. Roger  
nie ożenił się z Joanną. A mama Joasi — zupełnie  
nie wiadomo dlaczego — już nigdy więcej nie pro-  
siła cioci Filo na święto Trzech Króli.

Z bretońskiego przełożył Jerzy Wieluński

\* Słowa popularnej piosenki bretońskiej.

Koparz Hemon: (1900-1978) uważany za czołowego pisa-  
rza Bretonii. Autor wielu powieści oraz szeregu utworów  
poetyckich, tłumacz, historyk, filozof. Powieści opowia-  
danie pochodzi ze zbioru „WAR BIBLE AN HENT” („Na  
skraju drogi”). W wielu utworach Hemon wykolwa dro-  
bnomieszczańskie obyczaje i duchowa pustkę współczes-  
nych społeczeństw.



# Rzeź lasu

Dokończenie ze str. 1

Przytoczoną na wstępie informację sprzed miesiący odgrzebałam po lekturze kolejnej, nie mniej pogodnej wieści o rosnącym eksporcie polskiego drewna, wydrukowanej na łamach „Sztandaru Ludu”. W informacji „Sosny na eksport” gazeta podaje, iż ostatnio odwiedzili tartaki we Włodawie i Lukowie przedstawiciele angielskiej firmy Christ Goddberg i Michel Dayan Smith, która kupuje w Polsce około 40 tys. m sześć. tarcicy. I komentarz autora notatki: „Kraj nasz jest dla zachodnich kontrahentów bardzo atrakcyjny, gdyż jakoś tarcicy, a także solidność przemysłu sprawia, że otrzymują towar wysokiej klasy. Wobec okresowych trudności z uzyskaniem tarcicy w tradycyjnych źródłach importu — krajach skandynawskich, a przede wszystkim Finlandii, która obecnie znacznie obniżyła ilość tego towaru wysyłanego na eksport, zapotrzebowanie jest duże [...]”.

Wszystko już jasne. Światowa podaż drewna maleje, popyt rośnie. Kraje które stać na ograniczenie swojego eksportu, czynią to świadomie, z myślą o rosnącej koniunkturze, o ochronie rezerwuaru w perspektywie potrzeb następnego pokolenia.

W tę lukę skwapliwie wchodzi polski las. Jest to las przetrzebiony do granic bezpieczeństwa ekologicznego. Połowa jego obszaru nie przekroczyła 40 lat. (Powierzchnię powojennych nasadzeń ocenia się na 2 mln hektarów, co stanowi około 25 proc. całego arealu lasów polskich). Ta druga, starsza połowa płynie barkami, idzie na meble, stolarce budowlaną. Co z niej zostanie dla następnego pokolenia, skoro prawdziwej grubizny mamy już tylko około 7,2 proc.?

Stawiając tego rodzaju pytanie, stawiam się w rzędzie niezliczonej liczby „ochraniarzy” — tej sympatycznej, ale nieszkodliwej grupy ludzi (w tym

również wielu dziennikarzy) wrażliwych czy wręcz nadwrażliwych na punkcie ochrony środowiska.

Jeremiady na temat zagrożeń dla środowiska człowieka systematycznie obiegają prasę, stanowiąc tzw. głos społecznego sumienia w obliczu niebezpieczeństw niesionych przez lawinową urbanizację, industrializację i ich pochodne. Tego rodzaju publiczne e-nuncjacje i całe akcje wokół problemu zagrożenia gatunku ludzkiego, podróżującego w statku kosmicznym zwanym Ziemią, nabierają coraz większych rozmiarów. W Republice Federalnej Niemiec dały one życie nowej partii politycznej, tzw. partii zielonych. W Polsce sukcesy „ochraniarzy” są znacznie skromniejsze: na razie pozwala im się wypisać, wykrzyzczeć, wybiadolić. Bez rezultatów.

Pisząc o katastrofalnej sytuacji polskich lasów, nie mam złudzeń, że i ten głos utonie w potoku tych nieszkodliwych, nikogo do niczego nie zobowiązujących jeremiad. Ale mój głos bierze się z poczucia bezpośredniego zagrożenia. Bierze się także, co zabrzmi trochę pretensjonalnie — z poczucia współodpowiedzialności za stan przyrody, środowiska wyznaczającego granice bytu biologicznego mojemu narodowi, mojemu pokoleniu, a także pokoleniu moich dzieci i wnuków.

Pragnę otóż powiedzieć, że jako obywatel tego kraju, a zatem współwłaściciel m.in. jakiejś tam 36-milionowej części polskich lasów, nie wyrażam zgody na niszczyielski wyrąb przypadającej mi polaci drzewostanu. Informuję, że nie wyrażam zgody na to, aby lasy „mojego” Roztocza, lasy włodawskie, sosny z okolic rezerwatu Jata w Łukowskim stały się tarcicą firmy Goddberg. Wzywam do obrony resztek tych lasów m.in. bractw partyzancką drugą wojny światowej: chronić sosny, które osłaniały wasze piersi przed kulami faszystów w bitwach puszczy solskiej, lasów parczewskich.

# Loża „Wolni Oracze”

Dokończenie ze str. 1

łym pokoiku przy redakcji „Kuriera”, mieszczącej się wówczas przy Krakowskim Przedmieściu 60. Od początku uczestniczył w żarliwych dyskusjach radykalnej inteligencji, w której brała również udział młodzież robotnicza, m.in. Bolesław Bierut, Józef Dominko, Emil Brzozowski.

Już po kilku dniach został redaktorem „Kuriera”. Praca ta, której poświęcił się bez reszty, niezwykle go pasjonowała. Krąg współpracowników rozszerzał się. Nawiązał bliski kontakt ze wskazanym mu przez Zeromskiego dr. medycyny Pawłem Jankowskim, ordynatorem szpitala dziecięcego, odznaczającym się szczególnymi zainteresowaniami społecznymi, a także z redakcyjnym kolegą Witoldem Giełżyńskim.

Wkrótce Hempel dowiedział się o utworzeniu w Warszawie (w 1910 r.) samodzielnej loży masonskiej o nazwie „Wyzwolenie”. Nawiązał z nią kontakt za pośrednictwem dr. Rafała Radziwiłłowicza, przybyłego z Paryża. Znaczącą okazała się informacja, że „Wyzwolenie” było nie tylko pierwszą polską lożą odrodzoną w owym czasie w Królestwie, ale zarazem ośrodkiem, z którego wychodzą inicjatywy do powstawania dalszych loż. Grono wtajemniczonych w Lublinie powiększało się, jednak decyzje natury organizacyjnej Hempel podejmował początkowo tylko z Pawłem Jankowskim i jemu też zlecał określone zadania i kontakty. Próbował też szerzej oddziaływać na inteligencję skupioną w Towarzystwie „Światło”.

Z inspiracji działaczy warszawskiej loży „Wyzwolenie” na początku 1912 r. powstała w Lublinie loża masonska pod nazwą „Wolni Oracze”. Przewodzą jej dr Paweł Jankowski i Jan Hempel.

Ośrodkiem skupiającym członków tej loży była redakcja „Kuriera Lubelskiego”.

W okresie tworzenia się loży „Wolni Oracze” i krystalizowania się jej programu stawiła pierwsze kroki w Lublinie młodsza siostra Hempela, Wanda Papiewska, wychowana w duchu patriotyzmu i tolerancji. Przybyła ona wraz z rodziną z Warszawy, gdzie prowadziła już działalność społeczną. W Lublinie po kilkunastu latach rozłąki Wanda spotkała się z bratem. Odtąd zaczęła się ich najściślejsza współpraca. W niedługim czasie weszła wraz ze swym mężem, inż. Franciszkiem Papiewskim, w skład komitetu redakcyjnego „Kuriera”.

Praca w „Kurierze” pozwoliła Wandzie uczestniczyć w jakże pouczających dyskusjach, a jednocześnie szybciej poznać ciekawych ludzi z kręgu lubelskiej inteligencji. Wkrótce zaproponowano jej wstąpienie do loży „Wolni Oracze”. Oto jak wspomina ten moment: „Po parokrotnych rozmowach, przeprowadzonych ze mną przez dr. Pawła Jankowskiego, rozmowach ostrożnych, raczej badających mnie, później ogólnie przedstawiających cele i ideały przyświecające stowarzyszeniu, ostatecznie powiedział mi, że jest i działa w Lublinie loża masonska i zaproponował mi przystąpienie do niej. Nie przeraziła mnie ta nazwa: ideały którym holdowała: wolność, równość, niepodległość Polski, piękno — pociągały. Wiedziałam, że najlepszy Polacy, jak: Kościuszko, Staszic, Kollataj, Łukasieński — byli masonami. Wyrzuciłam zgodę, przyrzekając jak najściślejszą tajemnicę. Nie wiedziałam, kto należy do loży, nie pytałam o to, ale osoba dr. Pawła Jankowskiego wzbudzała całkowite zaufanie. Obawiałam się tajemnych ceremoniałów i „prób”, o których głośniła fama. Dr Paweł zawiadomił mnie o terminie i miejscu zebrań. Gdy weszłam, zobaczyłam grono dobrych znajomych z „Kuriera Lubelskiego”. Przewodni-

częym z tytułem Czcigodnego był dr Paweł Jankowski. Ku wielkiemu zadowoleniu zobaczyłam też mego męża, który tego samego dnia przyjmowany był do loży. Zadnych ceremoniałów, żadnych „prób”. (W. Hempel — Papiewska, „Wspomnienia bezpartyjne”, maszynopis, Lublin 1956).

Dzień przyjęcia do wolnomularskiego zakonu zapisał się na trwałe w pamięci Wandy, skoro po kilkudziesięciu latach zanotowała sens przemówienia swego brata: „Mówił o zadaniach stojących przed „braćmi”; umacniania w sobie i otoczeniu dobra, sprawiedliwości, o służbie społecznej, o duchu, wiecznym rewolucjonizmie, który przyświeca dziejom Polski. Nie wolno nam ustać w pracy, póki nie zdobędziemy wolności Polski i równości społecznej. Powinniśmy wszędzie wchodzić i świecić przykładem prawości, podnosić słabych na duchu, zwalczać zło i krzywdę, pracować przez Polskę dla dobra całej ludzkości”.

Dewiza wolnomularstwa to „wolność, równość i braterstwo”. Opierała się ona na zasadach wzajemnej tolerancji, szacunku dla siebie i dla innych ludzi oraz zupełnej wolności sumienia. Zwalczała zarówno klerikalizm, jak i wszelki dogmatyzm. Wysuwała na czoło ideowo-moralne treści demokracji. „Wolnomularze wierzyli — pisze Leon Chajn — że w ramach demokracji — opartej na szerokiej dyskusji, na zasadach ponadklasowej tolerancji, jawności i szczerości poglądów, szeroko dopuszczalnej krytyki i jednostkowej inicjatywy — można tak wychować ludzi, aby łączyła ich wspólnota myślenia i działania”. (L. Chajn, „Wolnomularstwo w II Rzeczypospolitej”, Warszawa 1975).

Kto wchodził w skład loży „Wolni Oracze”? Oprócz nazwisk już znanych, od początku istnienia loży pracował w niej dr Mieczysław Biernecki, doskonały lekarz, znawca i miłośnik muzyki, polityk, publicysta, współzałożyciel Stowarzyszenia „Światło”, „Kuriera Lubelskiego”, Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, radny miejski, wieloletni naczelny lekarz, następnie dyrektor szpitala Jana Bożego, działacz Polskiego Stronnictwa Postępowego.

Spośród lubelskich lekarzy członkami bractwa byli: dr med. Kazimierz Jaczewski, działacz Stronnictwa Postępowej Demokracji, założyciel Towarzystwa Naukowego w Lublinie, wieloletni sekretarz Towarzystwa Biblioteki im. H. Łopacińskiego, ordynator, później — lekarz naczelny w szpi-



Słowa te brzmią jak manifest, ale nie są manifestem, programem dla nowej partii „zielonych”. Chcę mojego Czytelnika po prostu rozgrzać przynajmniej na tyle, aby przebrnął przez suche fakty, obrazujące skalę postępu na drodze do zagłady polskich lasów. Fakty, które pojawiają się i trwają przez dziesięciolecia, nie są więc specjalnością tej czy innej ekipy, resortu, chwilowej koniunktury. Dowodzą one, że od 1950 roku do dziś odbywa się metodyczna, rujnująca eksploatacja polskiego drzewostanu. Tnie się znacznie więcej, niż pozwala na to elementarna zasada rekonstrukcji, regeneracji. W ciągu 33 lat wycięto ponad 100 mln metrów sześciennych drewna więcej, niż zezwalały na to prawa odnowień. Każdego roku systematycznie przekracza się tzw. etat — ustalane raz na 10 lat naprzód roczne masy drewna do pozyskania. Oto przykłady: etat, wygórowany zresztą, na rok 1978 ustalono na 18 mln m sześć., choć według obliczeń Polskiego Towarzystwa Leśnego można było wtedy, bez drastycznego naruszania równowagi w drzewostanie, wyciąć zaledwie 16 mln m. Tymczasem odpowiednia uchwała Rady Ministrów z 7 grudnia 1979 roku ustaliła przeciętny roczny, a więc ustalony mechanicznie na przyszłe lata, etat w rozmiarach 18,170 tys. m sześć. Mocą tej samej instancji i tej samej uchwały plan „pozyskania” drewna stanął wreszcie na 19,5 mln m sześć. Taka praktyka istniała od 30 lat — stąd wspomniane przeszło 100 mln m sześć., których wyrąb obniżył wiek polskich lasów, przerzedził je, osłabił ich zdolność reprodukcyjną.

Prawie połowa naszych lasów, jak wiemy, nie ukończyła 40 lat. Największy przyrost masy drzewnej odbywa się w drzewach 50—80-letnich. Wycinanie młodszych oznaczało systematyczne obniżanie zdolności przyrostowych. „Etaty” natomiast wzrastały i były systematycznie przekraczane. W rezultacie utrzymywała się sytuacja, w wyniku której przyrost masy drzewnej zmniejszał się, a wyrąb wzrastał, czyli młodym lasu przyspieszało się. Dziś żyjemy w zagajnikach, w drągowinie. Sosny 40-letnie nie kupi firma Goddberg. Ona chce tzw. grubizny, 60—80-letnich drzew, a takie, według niektórych, stanowią zaledwie 7,2 proc. powierzchni naszego drzewostanu.

W trakcie rabunkowej gospodarki rosła zarazem... hipokryzja wobec już nie tzw. środowiska naturalnego, ale konkretnego majątku narodowego, jakim jest las. Im więcej cięto, tym więcej powstawało parków narodowych.

Jeden z nich „powołano” na Roztoczu, po czym... wzbogaciłmy go linia kolejową. Niech sobie jeniec — te dosłowne i w przenośni — nie oczekują zbyt wiele po nobilitacji obszaru. Był Ojcowski Park Narodowy, więc od strony zachodnich wiatrów wybudowano Hutę Katowice — teraz park ten już dogorywa od wyziewów hut. Była Puszcza Kozienicka, więc dostała elektrownię. Były piękne lasy puławskie, więc dostały „Azoty”. Podobnych przykładów są dziesiątki.

Nadmierzony, rabunkowy wyrąb lasów, zwany w żargonie leśników pozyskiwaniem grubizny, stanowi tylko jeden z elementów degradacji środowiska. Nie można o lesie i jego zagrożeniach gaworzyć w oderwaniu od innych niebezpieczeństw. Las stanowi jedynie część środowiska i jest tylko enklawą, szczególnie przy tym wrażliwą na owe zagrożenia. O lawinowej degradacji lasów zadecydowały także: przemysł i jego trujące emisje, plaga szkodników oraz huragany. Tych trzech rodzajów niszczycieli również nie można traktować w oderwaniu, bo one wzajemnie się uzupełniają i stymulują. Emisja pyłów oraz fluoru i siarki stanowi pierwszy etap degradacji. Przeniesione przez wiatry na setki, a w sprzyjających warunkach na tysiące kilometrów, wyziewy te tworzą m. in. tzw. kwaśne deszcze — plagę nie tylko polskich, ale i europejskich lasów. Takie deszcze dosięgły również lubelskiego Roztocza; jego lasy, oddalone o dziesiątki, a nawet setki kilometrów od wielkich trucicieli atmosfery, jak np. puławskie „Azoty” czy tarbnozeska „Siarka”, niszczyły pod wpływem owych zabójczych „kapusniaków”. Sprawą tą zajmował się m. in. prof. B. Urlich, wykazując bezpośredni wpływ wspomnianych opadów przemysłowych na degradację lasów Roztocza.

Przenieśmy się na północny i północno-wschodni kraniec Polski. Tamtejsze lasy padły ofiarą niespotykanej w Europie na taką skalę inwazji szkodnika, zwanego brudnicą mniszką. Na ten temat napisano już dziesiątki artykułów utrzymanych w tonie alarmu. Np. Jerzy Dzieciolowski w publikacji zdradzającej pasję człowieka bezpośrednio zagrożonego („Lasu umieranie w przytomności żywych”, „Życie Gospodarze” nr 18) stwierdził dobitnie: „Historia lasów Europy nie zna podobnego w skali i nasileniu przykładu żerowania szkodnika brudnicy mniszki”.

Dlaczego akurat w Polsce i dlaczego na taką skalę?

Musiły zaistnieć okoliczności sprzyjające lawinowemu rozmnażaniu mniszki, która z kolei stworzyła doskonałe warunki do inwazji szkodników wtórnych — kornika drukarza, cetyficy oraz grzybów pasożytniczych. Mniszka zaatakowała lasy na obszarze 2,3 mln ha, szkodniki wtórne — na powierzchni 6,5 mln ha. Grzyby i szkodniki napastują lasy również w innych częściach kraju — w Górach Izerskich, Karkonoszach, w Sudetach. Pojawienie się samych grzybów pasożytniczych jest następstwem zanieczyszczenia atmosfery związkami siarki i fluoru. Atakują one także młode lasy, posadzone na terenach porolnych. Grzybami tymi są: tzw. hurba korzeniowa oraz opieńka miodowa.

Jeśli chodzi o zagrożenie poszczególnych gatunków, to najgorszy los czeka świerka i jodły. Świerk już się nie wysiewa na Śląsku, w Częstochowskim, w Górnośląskim oraz Rybnickim Okręgu Przemysłowym. Jodła okazała się drzewem szczególnie wrażliwym na zatrucie atmosfery, ale jej powszechne zamieranie, po osiągnięciu pewnego wieku, tłumaczy także obniżenie poziomu wód gruntowych. Z tych obydwu zapewne powodów jodła masowo ginie w obszarze Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, natomiast Puszcza Jodłowa w Górach Świętokrzyskich zamiera głównie na skutek inwazji zwojki jodłowej.

We wspaniałym rezerwacie Jata w Łukowskim jodła ginie masowo. Tu przyczyną nie są zanieczyszczenia atmosfery, lecz obniżenie poziomu wód gruntowych o ponad metr — bezpośredni rezultat budowy kanału Wieprz-Krzna. Rezerwat był niegdyś ostoją partyzantów, którzy do pokonywania bagien budowali kładki. Niektóre zachowały się jeszcze — dziś znajdują się na wysokości piersi dorosłego człowieka, a dochodzi się do nich suchą stopą. Wielu specjalistów krytycznie ocenia gospodarke w tym rezerwacie oraz w rezerwacie zwierzyńskim, gdzie dominuje jodła: masowo ginąca. Obowiązujące obecnie w nauce zasady tej gospodarki nie pozwalają na ingerencję człowieka w życie obszarów chronionych, w tym przypadku — na nasadzenie jodły. To są jednak zasady sprzed klęsk masowego wymierania owego gatunku; ich dalsze respektowanie doprowadzi do tego, że po ostatecznym wyginieciu jodły, za kilkadziesiąt lat, znacznie się tam panoszą wszędobylska i bardzo witalna grabina. Będzie to więc rezerwat krzaków, a w Jacie — pustynia krzaczasto-sosnowo-brzoźowa.

I wreszcie wspomniane huragany. Fatalne dwie doby listopada 1981 roku połaziły pokotem 18 mln m sześć. drzew. Razem ze zniszczeniami spowodowanymi przez szkodniki, niszczeniu ulega obecnie 40 mln m sześć. drzew, czyli 4—5-letni przyrost masy drzewnej polskich lasów. Tempo rocznych przyrostów, w związku z obecnym zniszczeniem jednej piątej lasów, wydłuży się z tego jeszcze powodu, że szacowany na 6,74 m sześć. roczny przyrost masy na hektarze jest, zdaniem leśników, już od dawna wielkością iluzoryczną.

Wzrosła także groźba eksplozywnej inwazji szkodników, np. kornika, który żeruje na drzewach martwych lub zamierających.

Tymczasem szacuje się, że zdolność do uprzątania wywrotów i wszelkiego posuszu nie przekracza rocznie 13 mln m sześć. Taka wielkość jest wypadkową wydajności ludzi i sprzętu, a także obowiązujących do niedawna priorytetów dla wyrębów, kosztem gnijącego posuszu (o czym wspomnę szerzej w ostatnim odcinku tej publikacji, przy omawianiu skutków reorganizacji polskiego leśnictwa w latach 1973—1974).

Tak więc, przy maksymalnym wysiłku służb leśnych, sprzątanie gnijących od dwóch lat drzew potrwa dalsze cztery lata, jeśli oczywiście w tym czasie nie nastąpią kolejne klęski żywiołowe. Tymczasem, gdy piszę te słowa, w dzienniku telewizyjnym (23 listopada br.) podano, że wichura śnieżna sparaliżowała komunikację na Lubelszczyźnie oraz wyrządziła znaczne straty w lasach Beskidu.

W obliczu ewidentnego marnotrawstwa sejmowa Komisja Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego wiosną tego roku zaleciła resortowi leśnictwa skierowanie maksymalnego wysiłku na opiekę sanitarną nad lasami, konkretnie zaś na usuwanie niszczonego drzewa. Zakładając, że priorytet ten będzie rzeczywiście przestrzegany, trzeba pamiętać o tym, iż drewno z posuszu nie pójdzie na eksport, nie pójdzie nawet na kopalniaki, aby ratować drzewa żywe, przedłużyć ich żywot o rok czy dwa. Na eksport potrzebny jest materiał w odpowiednim wieku, cięty we właściwej porze (zimną), nie zalegający przez lata w mchach, żerany przez szkodniki. Firma Goddberg, Szwedzi i wszyscy inni amatorzy polskiej tarczy już o to zadbają.

(cdn.)

Henryk Pająk

talach Św. Wincentego a'Paulo i Św. Józefa; dr med. Aleksander Stanisławski, członek Stronnictwa Postępowej Demokracji, biorący czynny udział w rewolucji 1905 r.; dr med. Jan Modrzewski, prezes Izby Lekarskiej, radny miejski, organizator Muzeum Lubelskiego, poseł na Sejm i senator z ramienia BBWR, członek Trybunału Stanu.

W Łoży „Wolni Oracze” czynnie uczestniczyli nauczyciele i działacze oświatowi: Kazimierz Dulęba, agronom ideowo związany z ruchem robotniczym, a później z radykalnym ruchem chłopskim, wykładowca szkół rolniczych w Pszczelinie i Krasieninie, komisarz lubelskiego Rządu Ludowego na Puławy, współpracownik Ireny Kosmowskiej; Władysław Kunicki, inżynier chemik, matematyk założyciel i dyrektor Gimnazjum Żeńskiego w Lublinie, na przełomie lat 1918—1919 komisarz ludowy miasta Lublina, przewodniczący OKR PPS, radny miejski, a w latach 1927—1929 prezes Rady Miejskiej w Lublinie; Edward Supronowicz, Jerzy Mączewski, Stefan Uziembło — nauczyciele lubelskich szkół średnich, współorganizatorzy Rady Szkolnej Lublina oraz członkowie Rady Miejskiej (1916—1918).

Kadrę inżynierską w lubelskiej Łoży reprezentowali: Oktawian Zagrobski, zatrudniony w fabryce kotłów Plage-Lańskie, człony przywódca PPS-Lewicy, a od 1918 r. działacz KPRP, członek zespołu redakcyjnego „Kurier Lubelski”, współzałożyciel Lubelskiej Spółdzielni Spożywców; Franciszek Papiewski, inż. architekt, właściciel firmy budowlanej, prezes Towarzystwa Muzycznego, wieloletni prezes Stowarzyszenia Techników, od 1934 r. wiceprezes Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej (w Polsce Ludowej był zastępcą dyrektora kancelarii Rady Państwa do spraw budowlanych); Edmund Scheur, inżynier, radny miejski (1916—1918).

Jednym z najaktywniejszych członków bractwa „Wolni Oracze” był od początku jego istnienia Witold Giełżyński, publicysta, redaktor wielu dzienników i czasopism, w młodości związany z lewicowym nurtem PPS w Lublinie. W latach 1911—1914 był redaktorem „Kurier Lubelski”. W Polsce niepodległej wykładał w Wyższej Szkole Dziennikarskiej, zajmował eksponowane stanowiska w rządzie. Członkami Łoży byli też: Bolesław Giełżyński, geometra-mierniczy, działacz PPS-Lewicy; Saturnin Osiański, radny miejski, urzędnik samorządowy, a w Polsce niepodległej senator z listy PSL — Wyzwolenie.

Pod koniec istnienia Łoży lubelskiej (1916 r.) przyjęło do niej poetkę i powieściopisarkę Jadwigę Marcinkowską, autorkę dramatów o Kościuszcze i Sejmie Czteroletnim. W czasie pobytu w Lublinie w 1916 r. była ona przewodniczącą Zarządu Łigi Kobiet, przyjaźniła się z Marią Dąbrowską.

Zebrań członków Łoży miały charakter konspiracyjny, odbywały się one najczęściej w mieszkaniu Papiewskich przy ul. Zielonej 4. Wszyscy zabierający głos mieli obowiązek przemawiania stojąc. Jednym z obrzędów było zbieranie do worka dobrowolnej ofiary, przeznaczonej na wydatki Łoży i na cele społeczne. Przemówienia programowe najczęściej wygłaszał Jan Hempel, noszący tytuł „mówcy”. Był człowiekiem rozległej wiedzy, doskonałym erudyta, umiał porwać słowem i czynem. W jego wystąpieniach było jeszcze sporo mistycyzmu. W dyskusji często poruszano sprawy natury politycznej.

Zabierający głos „bracia” posługiwali się wolnomularską symboliką, która stanowiła język tajemny. Symbolika ta opierała się na porównaniu społeczeństwa do budowli, a używanie mularskich narzędzi oznaczało symboliczne budowanie nowego porządku. Tak np. linia symbolizowała potrzebę doskonalenia przez pracę, poziomnica wzywała do skromności i równości, a linia i pion były symbolem prawości i mocy.

Lubelską Łożę masonską odwiedzał wielki mistrz wielkiej Łoży narodowej — Andrzej Strug. Patronował jej też dr Rafał Radziwiłowicz. Za pośrednictwem Hempela i Giełżyńskiego utrzymywano kontakty z działaczami warszawskiej Łoży: adwokatem Stanisławem Patkiem i inż. Zygmuntem Chmielewskim.

Na szczególną uwagę zasługują praktyczne inicjatywy Łoży, zmierzające do powołania do życia robotniczej spółdzielni spożywców oraz oddziaływanie na instytucje pracujące w mieście. „Obowiązkiem naszym — wspomina Wanda Papiewska — było wchodzić do różnych organizacji społecznych i w nich przeprowadzać pewne postulaty, w myśl naszych dążeń. Łoża otaczała opieką „Kurier Lubelski”, bacząc, aby do grona komitetu redakcyjnego nie dostały się elementy, które by wypaczały jego kierunek. Inicjatywa założenia Spółdzielni Spożywców w Lublinie powstała w naszej Łoży i mnie polecono zająć się jej zorganizowaniem. Lubelska Spółdzielnia Spożywców jest

więc masonskim dzieckiem”. Powstała ona dnia 19 stycznia 1913 r. i skupiła ofiarnych działaczy. Oprócz podstawowej, ekonomicznej funkcji spółdzielni, związanej z zaopatrzeniem swych członków, LSS od początku istnienia odgrywała ważną rolę w kształtowaniu postępowych poglądów i świadomości klasowej robotników. We władzach LSS znaleźli się masoni: Giełżyński, dr Jankowski, Papiewska.

Jedną z ostatnich inicjatyw Łoży, zmierzających do opanowywania instytucji społecznych w mieście, było podjęcie szerszej kampanii w wyborach samorządowych w 1916 r. Do Rady Miejskiej weszli wówczas masoni: dr P. Jankowski, W. Kunicki, J. Mączewski, S. Osiański, E. Szymonowicz, S. Uziembło i inni.

Rozszerzenie się wpływu lubelskiej masonerii dostrzegli też i atakowali jej przeciwnicy, zwłaszcza ze środowisk prawicowych i klerykalnych. Zarzucali masonom zbyt łatwe zdobywanie stanowisk państwowych i społecznych. Tendencjom tym starała się przeciwstawić Wanda Papiewska, tak o tym pisząc później: „Do naszej Łoży żadną miarą nie może się odnosić złośliwa opinia, głosząca, jakoby „bracia” pomagali sobie w obsadzeniu inatratnych stanowisk. Panowała wśród nas czysta atmosfera ofiarnej i bezinteresownej pracy społecznej. Może inaczej byłoby dawniej, gdy Polacy mogli jeszcze zajmować wybitne państwowe stanowiska. Zapewne z tamtych to czasów utrzymała się opinia, iż masoni wzajemnie się popierają, jak o tym śpiewa w szopce były wielki mistrz wielkiej Łoży narodowej, Andrzej Strug:

Gdy noc zapada  
I ciemność wszystko przesłania,  
Wtedy wychodzą masoni  
I słyszą kiełki stuka.  
Ciche wiódą narady,  
Jak poobsadzać posady.  
I czemu nie mam, choć jestem masonem  
I tak się schodzimy co noc.

(Szopka polityczna płora M. Hemera, J. Lechonja, J. Tuwima, A. Slonimskiego, Warszawa 1930)

Józef Marczuk

## Brakujące powieści

**R**OBERT Penn Warren to wybitny prozaik amerykański starszego już pokolenia. Przeczytałem ostatnio powieść zatytułowaną „Mieć dokąd wrócić” (Warszawa 1980). Nie jest to najlepsza powieść w dorobku tego pisarza, ale bardzo typowa dla prozy amerykańskiej. Utwór ten należy do gatunku tak zwanej powieści uniwersyteckiej. Bohaterem jest młody najczulszej naukowic, zbuntowany jajogłowy, zagubiony w świecie interesu, jakby nieprzystosowany do amerykańskiego życia. Jajogłowy jest zawsze elokwentnym, bystrym, dowcipnym narratorem, ciekawie opowiada o życiu i o kopniakach, którymi go częstowano.

U nas takich akademickich powieści prawie nie ma, i może trochę szkoda, bo środowisko intere-

sujące, a poza tym inteligentny bohater, ma okazję do wypowiedzenia mądrych uwag.

W amerykańskich powieściach tego typu spora część akcji rozgrywa się w łóżku. Autorzy chętnie opisują genitalia, zapominając o tym, że lepiej pokazuje to fotografia czy dziurka od klucza. Beletrysta dziurką od klucza nie powinien raczej być. A więc nie żałujmy specjalnie, że brakuje nam książek pornograficznych, czy uniwersyteckich. Przy okazji zrobimy generalny tematyczny przegląd naszej produkcji beletrystycznej i zastanówmy się, jakich książek nam brakuje. Nie ma wielkiej biedy w tym, że nie wydaje się powieści dla homoseksualistów, o czym pisał już przed wojną Boy. Wielu czytelników uważa, że nie mamy jeszcze żadnego porządnego kryminału, który osiągnąłby poziom przeciętnej pozycji obyczajowej. Nad tą kwestią nie będę się dłużej zatrzymywał, gdyż jest to sprawa dość często walczona w naszej prasie. Kontynuujmy zatem nasz remanent, szukajmy, sprawdzajmy, w jakim dziale jest manko.

Dokonano stu przyniłek, ale nie napisano jeszcze dobrej powieści o Ziemiach Zachodnich. Ja uważam, że powinna to być wielopokoleniowa saga rodziny, dobrze zakorzeniona co najmniej w

latach trzydziestych, uwzględniająca zarówno punkt dojścia, jak i punkt wyjścia tych ziem.

Produkcyniaki nasze nie mogą wyplatać się z problematyki — nazwijmy to tak — zaopatrzeniowo-kooperacyjnej, choć wiele utworów radzieckich, a także niektóre czeskie osiagają tu poziom niezłych, a nawet interesujących powieści miłosnych czy psychologicznych.

A więc braki mamy spore, dlatego może aż tyle oczekujemy od powieści eksperymentalnej. Jednak najlepszy utwór eksperymentalny nie zastąpi romansu, powieści psychologicznej, miłosnej, kryminalnej, obyczajowej, produkcyjnej wreszcie. Romane eksperymentalne zawsze egzystowały wyłącznie na marginesie normalnej produkcji beletrystycznej, były w zakładzie twórczym placówką badawczą. Powieści laboratoryjne wypracowały nowe formy opisu czy dialogu, które stopniowo, choć oględnie, wprowadzano do zwykłych utworów. I tu manka nie mamy — wielu jest racjonalizatorów, wielu modelarzy, wielu zapalonych konstruktorów. W życiu gospodarczym też dysponujemy wspaniałą kadrą inżynierjno-techniczną. Sęk w tym, że technologia bardziej jest potrzebna w gospodarce niż w sztuce.

Janusz Olczak

## Dobra forma Maanamu

**P**OTRZEBA było kilku miesięcy planowego wyciszenia na scenie i w radiu, by stwierdzić, że krakowska grupa Maanam znów jest „na fall”. Wprawdzie bilans ostatnich jedenastu miesięcy nie był tak imponujący, jak dokonania sprzed roku, wiele jednak wskazuje na to, że w notowaniach plebiscytów popularności Kora ma duże szanse ponownego wywindowania się na pierwszą pozycję wśród rodzimych wokalistek. A wszystko za sprawą rewelacyjnej, moim zdaniem, kasety i płyty „Nocny patrol”, promowanej od niedawna przez firmę „Rogot”.

Ubiegłoroczny sukces zespół zawdzięczał albumowi „01”, który później gitarzysta, skrytyk i producent brytyjski Neil Black miał nazwać płytą bez pomysłu, zbyt mało progresywną i nużącą swą aranżacją. Black, reprezentujący londyńskie wydawnictwo Producers Workshop, towarzyszył zespołowi w krakowskim studiu Teatru STU przy nagrywaniu polskiej i angielskiej wersji nowego dysku — miał być mężem opatrznościowym Maanam na Zachodzie. Pech chciał, że miksowanie materiału dźwiękowego w Londynie zrobiło plajtę i zaistniała konieczność remiksowania. Dokonał go producent John Jones w duńskim studiu El-sound. Ostatecznie album zatytułowany „Night Patrol” wydała w Skandynawii i RFN firma Teldec. Jego promocji ma towarzyszyć interesujący film video, nakręcony przez speca od telewizji, Ryszarda Lenczewskiego.

Myszę, że nowe piosenki Kory (prezentowane częściowo podczas wrześniowych koncertów zespołu w lubelskiej hali WOSIR będą zaskoczeniem dla fanów. Ich faworytka najwyraźniej chyba zrozumiała, że pora odstąpić od zmysłowej drapieżności na rzecz refleksyjnych, niekiedy nawet lirycznych utworów. Nie ma więc w nich dawnej ekscytacji i szalonego tempa, co na szczęście w niczym nie umniejsza atrakcyjności wydawnictwa. Nowa twarz solistki Maanam, z rzadka już śpiewającej porwijającym głosem, jest w dalszym ciągu oryginalna, ba nawet intrygująca. Jej jasny, miło brzmiący głos zdaje się nabierać nowego w-razu.

Wielkim przebojem tegorocznego lata był nastrojowy utwór „Kocham cię kochanie moje”. W tym też klimacie spółka Jackowska-Jackowski utrzymała nowe kompozycje, gotowe podbić serca nastolatków. Okazuje się, że swoista kontemplacja, ta fascynacja łagodnym umiarem, potrafi być nie mniej ciekawa, niż poprzednie, prowokujące lub, jak kto woli, trytujaące propozycje w stylu „Oddech szczura” czy „Boskie Buenos”. Znak to widomy, że Maanam nie zamierza dłużej eksploatować wypracowanego stylu i chce iść dalej w odkrywaniu innych obszarów fascynacji rockiem.

Widać, a właściwie słychać, to doskonale na przykładzie bogatszej niż dotąd aranżacji i w przykładaniu większej uwagi do melodii. W zapisanym na płycie instrumentalium bez kłopotu można wyłowić uchem syntezatory, wibrafon, saksofon tenorowy, a nawet akordeon, tak rzadko używany przez grupy rockowe. Dzięki bogactwu stosowanych z umiarem dźwięków, gitarowe dotąd brzmienie Maanam znacznie zyskało na wartości, stało się bardziej plastyczne. I pomyśleć, że niektórzy złośnicy wróżyli grupie rychły zgon z braku nowych pomysłów. Częściowa zmiana optyki muzycznej wiąże się również ze zmianą tekstów, co mnie osobiście cieszy. Poprzednich tekstów Kory operujących słownymi dźwiękami, po prostu nie trawiłem. Teraz sławna wokalistka zaczyna pisać wreszcie utwory, które nie są tylko zlepkiem przypadkowych i szokujących słuchacza „słów-kluczy”. Jest w nich jakaś głębsza myśl, a i metaforyka Kory ma coś z poezji. Zresztą oboje z mężem udowadniają sceptykom, że stać ich jeszcze na wiele niespodzianek, co prawda kontrowersyjnych, ale kuszących swą odmiennością. Właśnie ta odmienność była zawsze cechą wyróżniającą Maanam z grona innych grup naszego światła muzycznego.

Jestem przekonany, że „Raz — dwa — raz — dwa”, „Nocny patrol”, „Polska piosenka”, „Krakowski spleen”, „French Is Strange” i „Zdrada” dosyć długo będą gościć na listach przebojów.

I.G.



## Kultura w LZW

**W**ŁĘCZACH 14 — 15 listopada odbyło się w Łęcznej i Lublinie sympozjum pn. „Aktywność kulturalna ludności w rejonie przemysłowym”, zorganizowane przez Zakład Andragogiki w Instytucie Pedagogiki UMCS, miejscowy oddział Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej, Wydział Kultury i Sztuki UW, dyrekcję Kopalni LZW i Przedsiębiorstwo Robót Górniczych.

W sympozjum wzięło udział ponad 70 osób, w tym 30 pracowników naukowych z uniwersytetów i wyższych szkół pedagogicznych krajowych i zagranicznych (Czechosłowacji, Węgier i NRD). Ponadto w spotkaniu uczestniczyli pracownicy wydziałów i domów kultury, bibliotekarze, przedstawiciele (11) KLZW i PRG, nauczyciele. Można zatem powiedzieć, że sympozjum miało charakter ogólnopolski — z międzynarodowym akcentem.

W pierwszym dniu, podczas obrad plenarnych w przewiewnym pawilonie handlowym, spełniającym tymczasowo funkcje Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Łęcznej, wygłoszono kilkanaście komunikatów w których podnoszono kwestie teoretyczno-metodologiczne badań uczestnictwa w kulturze lub przedstawiano konkretne zjawiska

i fakty z życia kulturalnego, ustalone w trakcie penetracji naukowej wybranego środowiska społecznego, głównie — Lubelskiego Zagłębia Węglowego, od 1977 roku obserwowanego przez pracowników Zakładu Andragogiki UMCS.

Dzień następny poświęcono w zasadzie na dyskusje w dwóch sekcjach: metodologicznej i „praktycznej”.

„Zakładając, że w najbliższym czasie „Kamena” powróci do problemów zarysowanych na sympozjum, które w istocie było próbą wymiany poglądów między działaczami kultury i naukowcami, ograniczmy się tylko do zacytowania fragmentów dwóch wystąpień, znamienych dla całego spotkania, a z naszego punktu widzenia — pouczających.

„Ogólnie można stwierdzić — powiedział doc. dr Mieczysław Marczuk — że uczestnictwo mieszkańców badanych miejscowości rejonu LZW w kulturze symbolicznej jest na stosunkowo niskim poziomie, a ich aktywność kulturalna jest także niska i jednostronna. Uwidacznia się wyraźnie przewaga domowych form aktywności kulturalnej z akcentem na odbiór łatwych, zabawowo-rozrywkowych treści głównie przy pomocy telewizji i radia. Minimalny jest udział respondentów w ogólnodostępnych formach aktywności zwłaszcza w tzw. wyższych formach kultury artystycznej. Prawie nie istnieje aktywność o charakterze kreatywnym”.

A oto refleksja doc. dr. hab. Stanisława Popka: „Dotychczasowe badania diagnostyczne mają na ogół tę wadę, że ograniczają się do wykrywania i opisu zmian w aktywności kulturalnej ludności, i to zmian mierzonych behawioralnie, tzn. na podstawie czynności zewnętrznych, traktowanych ilościowo, bez próby wnicania w głębszą warstwę świadomości i głębiej — w sferę postaw kulturowych. Wyniki takich badań dostarczają wiedzy empirycznej o fizycznych właściwościach infrastruktury oraz o aktywnym bądź pasywnym stosunku różnych grup zawodowych i warstw społecznych do organizowanych imprez, czy zjawisk mających aktywizować kulturowo, ale nie docierają one do mechanizmów, czy też psychospołecznych uwarunkowań wyznaczających poziom przeobrażeń w sferze postaw”.

Na koniec wypada zauważyć, że między naukowcami a „praktykami” zarysowały się w czasie sympozjum różnice stanowisk. Ci ostatni twierdzili np. że diagnozy sformułowane przez tych oierwszych są im dobrze znane z doświadczenia, które obywatela się przecież bez warsztatu naukowego i wiedzy „o systemowym charakterze struktury społeczno-kulturowej społeczności”.

Takie kontrowersje to przecież nie innego, jak jeszcze jeden argument za celowością podobnych spotkań. Dziwi tylko jedno: że ani do Łęcznej, ani do Lublina nie niefatgowali się przedstawiciele centralnej administracji kulturalnej.

(K)

## Bogdanovich w... Singapurze

**D**EBIUT fabularny Petera Bogdanovicha, nakręcony w 1971 r. „Ostatni seans filmowy”, od razu zwrócił uwagę krytyki oraz widzów na osobę młodego amerykańskiego reżysera. Melancholia, z jaką trzydziestoletni twórca pokazywał życie głębokiej prowincji amerykańskiej odchodzącej od dawnych tradycji, a podporządkowującej się krzykliwej pop-kulturze i bełkotowi telewizyjnemu, nostalgii, z jaką Bogdanovich wspominał „dawne, dobre czasy” — wszystko to wywierało na widzu niezatarte wrażenie.

Osią dramaturgiczną, wokół której obracał się film Bogdanovicha, była historia ostatniego seansu w likwidowanym przez właścicieli kinie — wieloletnim punkcie zbornym miejscowej społeczności. Teraz do kina nikt już nie chce chodzić: ludzie albo uciekają z prowincji do wielkich metropolii przemysłowych, albo tkwią zamknięci w domach, wpatrzni w ekrany telewizorów. Stara Ameryka odchodzi w przeszłość; na „ostatnim seansie filmowym” nieprzypadkowo idzie klasyczny western Howarda Hawksa „Rzeka Czerwona”; to nie tylko pożegnanie z filmem kowbojskim, ale także z całym światem, z którego western wyrastał...

Debiutant nie był nowicjuszem w dziedzinie filmowej. Zanim powstał „Ostatni seans filmowy”, Peter Bogdanovich przez kilka lat był współpracownikiem znanego amerykańskiego reżysera i producenta Rogera Corman, twórcy licznych horrorów, kryminałów i obyczajowych melodramatów, człowieka, który w Stanach Zjednoczonych zyskał przydomek „King of the Bs” — króla filmów klasy B. Corman nie miał może wysokich ambicji twórczych, ale ogromnych umiejętności warsztatowych nikt mu nie może odmówić. Oglądaliśmy w Polsce jego ekranizację „Kruka” wg E. A. Poeo — był to majstersztyk w swoim gatunku.

Corman, to była dobra szkoła zawodu, a Bogdanovich posiadał jeszcze przy tym talent, inteligencję i ambicję. Nie chciał kręcić komercyjnych „dreszczowców”, ale terminowanie u mistrza horroru nie pozostało w nim bez echa: pierwszym filmem Bogdanovicha był dokument zatytułowany „Targets” („Cele”), zrealizowany w 1968 r., a opowiadający o znanym bohaterze horrorów Borisie Karloffie. Była to zarazem wyprawa w głąb historii kina. Młodego reżysera fascynował fenomen kina, jego narodzin i początków, romantyka, jaka towarzyszyła jego dynamicznemu i obfitującemu w niezwykle wydarzenia rozwojowi, oddziaływanie X Muzy na szerokie, wyłaniające się właśnie z mroków ciemnoty, masy społeczne. Odtąd w twórczości Petera Bogdanovicha stałe przewijał się będzie wątek „filmowy”: albo będą to odniesienia do dawnego kina we wziętym na warsztat „współczesnym” temacie, albo będzie on kręcił swoiste pastisze, w rodzaju powstałego w 1976 r. „Nickelodeon”.

Nie zawsze są to rzeczy udane. W pewnym momencie Bogdanovich zostanie pochopnie zaliczony do twórców, którzy niebezpiecznie daleko zabrnęli w bardzo specyficz-

ną manierę, bez nadziei otrząśnięcia się z niej. Historyczno-nostalgiczne kinowe pasje młodego amerykańskiego reżysera zaczęły mu zjednywać niebezpieczną opinię zdolnego „kopisty” starego kina... Obliczony na artystyczny i kasowy sukces „Nickelodeon” brał na warsztat temat kapitalny: okres tzw. „wojny patentowej”. To znaczy — przełom pierwszego i drugiego dziesięciolecia XX wieku, kiedy to w Stanach Zjednoczonych trwała walka pomiędzy filmowym trustem „Motion Picture Patent Company” a „Niezależnymi”, i w której wyniku centrum produkcji filmowej przesunęło się ostatecznie z Nowego Jorku do nikomu dotąd nie znanej, położonej na przeciwległym krańcu kontynentu północnoamerykańskiego, maleńkiej miejscowości — Hollywood... Niestety, „Nickelodeon”, chociaż z ogromną starannością i pietyzmem wobec historycznych realiów, był filmem nieskończenie nudnym.

Wydawało się, że gwiazda Bogdanovicha zdecydowanie przyciąga. Tymczasem — ostatnio oglądamy na ekranach film, który pokazuje reżysera jakby zupełnie odrodzonego, innego. To „Saint Jack”, który z czteroletnim opóźnieniem trafił do polskich kin. Barwna, szerokoekranowa, pełna specyficznego humoru, z lekkością opowiedziana „historia z Dalekiego Wschodu”.

Film należy do gatunku „przygodowych”, ale nie pozbawiony jest głębokich podtekstów. Rzecz dzieje się w Singapurze, w okresie, gdy w Wietnamie toczy się „amerykańska wojna”. Bohater, tytułowy Jack, to Amerykanin osiadły na Dalekim Wschodzie, niegdysiejszy uczestnik wojny koreańskiej, kiedyś — początkujący pisarz, a teraz znany w całym mieście, wśród białych i żółtych, drobny geszefciarz, handlowy pośrednik i pokątny alfons marzący o otworzeniu własnego ekstraklasowego burdelu. Jack to wyrzutek społeczny, ale zarazem... człowiek dobry, powszechnie lubiany i na swój sposób szanowany. Jednostka upadła, ale pełna radości życia, nie pozbawiona, mimo wszystko — choć bardzo swoiście pojmowanych — zasad moralnych i humoru. Zdrzutotany przez tryby maszyny wojennej człowiek, nie pozbawiony miary człowieczeństwa.

Cały film wspiera się na barokach odtwarzającego postać Jacka, genialnego w tej roli, Ben Gazzary. Ale przecież nie byłoby „Saint Jacka” bez oka i ręki Petera Bogdanovicha. Bez jego talentu, bez jego mądrego spojrzenia na feeryczny półświatek dalekowschodniej metropolii. Na ten ludzki teatr skąpany w pięknych dekoracjach i na jego brudne kulisy: na cały ów fascynujący świat, który pokazuje nam na ekranie.

„Saint Jack” — to Bogdanovich jakiego dotąd nie znaliśmy!

M. D.

PS. Ludziom zbyt przekonany o swojej wielkości pozwól sobie zacytować dowcip z tego filmu: „He ma pan wzrostu?” — pyta malajska prostytutka gościa, który jej w czymś uchybił. „Metr dziewięćdziesiąt!” — odpowiada zapytany. „No, to jest pan już dostatecznie wysoki, żeby pocałować słonia w dupę!”

# Krzyżówka nr 28

## Szyfrogram literacki

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	
28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	
41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	
54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	
67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	
80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91		
92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	
105	106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116		
	117	118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	128	129
130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	140	141		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przeliterować do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści autora, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze:

1. wysokostandardowy dom noclegowy — 132. 88. 35. 102. 23.
2. zbiera dane dla socjologów — 134. 2. 74. 113. 19. 28. 8. 82.
3. wracał z nocnej wycieczki — 84. 18. 2. 48. 65. 133.
4. ozdoba litera na początku akapitu — 125. 13. 6. 131. 44. 71. 45.
5. powieść Orzeszkowej — 112. 1. 16. 31. 42. 136.
6. szacunek poważanie — 141. 23. 4. 82. 69. 51. 109.
7. szybko biegający pasterze — 83. 104. 91. 27. 5. 53. 58. 25.
8. strój konia — 49. 135. 77. 106. 86. 114.
9. szlachecki dom — 121. 89. 76. 101.
10. tytuł kardynała — 118. 41. 85. 65. 111. 139. 19. 119. 105.
11. koźczyzny górne — 20. 12. 23. 50.
12. cztery metry drzewa w stosie — 32. 89. 7.
13. składnik szkieletu — 98. 30. 68. 57.
14. chęć do jedzenia — 56. 63. 126. 137. 90. 99.

15. bryka lub epika — 92. 33. 78. 54. 11. 136.
  16. siedzi w teatrze lub kinie — 17. 140. 108. 123.
  17. jest przeciw — 103. 122. 59. 21. 36. 96. 117. 46.
  18. bardzo dobrze — 113. 24. 61. 47. 29. 102.
  19. cesarz Japonii — 97. 14. 37. 116. 73. 68. 81. 120.
  20. znaczenie nazwy — 90. 34. 78. 22. 72. 98. 15.
  21. największy składnik powietrza — 93. 28. 123. 62.
  22. pnie w zbożu — 84. 67. 124. 160. 130.
  23. dźwięk — 68. 70. 9. 127. 138.
  24. rzeźba Marii z martwym Chrystusem — 87. 129. 43. 75. 92.
- Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 29-950) w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki-szyfrogramu nr 26 „Dopiero co zabito kombryga dwa. Na jego miejsce komandarm mianował Kolesnikowa. Przed godziną Kolesnikow był dowódcą pułku. Przed tygodniem Kolesnikow był dowódcą szwadronu.”  
Izaak Babel: „Armia konna”  
Nagrodę otrzymuje Czesław Krysa, Biała Podlaska.



Pewien poeta powiedział swego czasu do Balzaca:  
— Pochlebiam sobie, że nic nikomu nie zawdzięczam. Jestem synem własnych dzieł i wszystko stworzyłem sam z siebie.  
Na to Balzac:  
— Niech pan powinszuje swemu ojcu. Uwolnił go pan w ten sposób od ciężkiej odpowiedzialności.

Znany uczyony francuski, Falloux, wybrał się kiedyś na wycieczkę czółnem po jeziorze. Po pewnym czasie spytał wiosłarza:  
— Czy znacie się na filozofii?  
— Nie, nigdy nie słyszałem tego słowa!  
— No, toście stracili czwartą część życia. A znacie się choć trochę na geologii?  
— Nie, w ogóle nie!  
— Straciliście połowę swego życia. A rozumiecie się na anatomii?  
— Nie!  
— Zamarnowaliście trzy czwarte swego życia — powiedział profesor i zamierzał dalej ciągnąć rozmowę, ale naraz uczyony i wiosłarz wpadli do wody.  
— Czy umie pan pływać? — zapytał wiosłarz.  
— Nie umiem!  
— Wobec tego stracił pan całe życie.

Oscar Wilde spotkał na Pont Neuf w Paryżu biednie ubranego człowieka, który smutnym wzrokiem patrzył na wodę. Wilde, kładąc mu rękę na ramieniu powiedział:  
— Jest pan zmęczony życiem, przyjacielu?  
— Nie panie, jestem fryzjerem!

Wyszperal: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Piasecki, Waldemar Siechen (kierownik działu kulturalnego), Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie zwraza materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18.  
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Buch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 233-30.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.  
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 27A.  
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 233-53, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.  
Korespondencje zwrócić prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

PE ISSN 0137-7108. Nr indeksu 34233.  
Zam. 3497. 30.11.1983 r. 5-4.

# BRUCE LEE: prawda i legenda

— 11 —

## Co nam zostawiasz Mały Smoku?

Michał Rey

Odpowiadamy na listy, telefony, wizyty w redakcji. Przede wszystkim pewne wyjaśnienie. Autor cyklu to, co miał do powiedzenia na temat idola, już powiedział. Właściwie należałoby dodać: w zasadzie. Bowiem w czasie trwania cyklu napływały różne dodatkowe informacje, które były uzupełnieniem, bądź nawet sprostowaniem faktów podawanych w kolejnych odcinkach. Za wszystkie uwagi dziękujemy i prosimy o dalsze. Niewykluczone, że zamieścimy jeszcze jeden odcinek poświęcony uściśleniom prawdy, a eliminacjom legendy Bruce'a Lee. Szczególnie dużą wdzięczność okazujemy Małgorzacie H. z Warszawy, absolwentce UMCS w Lublinie, której wiedza i bibliografia przedmiotu naszego serialu jest imponująca. Dzięki niej prostujemy informacje o dwóch synach Małego Smoka. Miał on syna Brandona Lee (urodzonego w 1963 roku) i córkę Shannon Lee (urodzoną w 1969 roku). Obecna informacja oparta jest na wspomnieniach Lindy Lee i kilku zdjęciach całej rodziny oraz książce Danny'ego Inosanto; co przedmiotem sporu o pierdzenie czyni nieaktualnym. Wyjaśniła się też sprawa miejsca studiów Bruce'a, która budziła wątpliwości (na podstawie lektury źródeł niemieckich). Otuż pobierał on, przez krótki okres, nauki w University of Washington w Seattle, a nie w jednym z uniwersytetów waszyngtońskich, jak podaliśmy.

Wrócmy teraz do telefonów, listów i wizyt. Nie unikamy kontaktów, ale mamy prośbę: jeżeli chcecie się spotkać z autorem, to najpierw skorzystajcie z wynalazku pn. telefon i umówcie się. Unikniemy wówczas sytuacji, kiedy z Kraśnika przyjeżdżają trzy wielbiciele Bruce'a i są zdziwione, że autor nie siedzi kamieniem w redakcji. Dotyczy to także wizyt lubelskich fanów, choć mają oni do nas zdecydowanie bliżej. Na ogólną prośbę kilkunastu osób podajemy „namiary” pierwsze, o jakim wiemy, Fanklubu Bruce'a Lee (Lublin, ul. Junoszy 47, Klub „Centrum”).

Agacie T. (Piotrków Trybunalski), Tomaszowi Ryszkiewiczowi (Lubartów), Danielowi Trypule (Gdańsk), Ewie Rata (Tarnobrzeg) i Annie-Maril Rz. (Gorzów Wielkopolski) oraz wielu innym, którzy mogą wpaść na podobny pomysł, odpowiadamy, że „Kamień” nie ma możliwości prowadzić sprzedaży, za zaliczeniem pocztowym, odcinków serialu czy fotosów Bruce'a. W pierwszym przypadku przekracza to nasze możliwości, w drugim — kompetencje (i możliwości). Wiąże się to pośrednio z pytaniem Janusza Krzyżanowskiego (Stalowa Wola), czy sprzedaż zdjęć Małego Smoka w różnych sklepikach prywatnych, butkach, na targach itd. jest legalna. Otuż jest to proceder nielegalny, stanowiący naruszenie praw autorskich wykonawcy zdjęć lub edytora. Jest to problem zupełnie identyczny, jak sprzedaż podrabianych „Wranglerów” czy choćby tylko naszywek i guzików z nazwą tej firmy, robionych pokatnie.

Spróbujmy udzielić odpowiedzi na pytanie o pryncypium fenomenu Bruce'a Lee. Jest to zagadnienie złożone i wielopłaszczyznowe, stąd, dla lepszego zrozumienia prezentowanych tu racji, próba pewnego uporządkowania wywołu.

### FILOZOFIA

zjawiska, czy precyzyjnie: jego podbudowa filozoficzna, wiąże się ściśle z azjatyckim pochodzeniem Bruce'a (choć niezupełnie, bo jego matka była pół-Europejką) i płynącym stąd zapieczeniem kulturowym (przekazywanym głównie przez ojca), a zarazem silnym związaniem ze światem Zachodu, w szczególności ze standardami życiowymi społeczeństwa amerykańskiego i niewątpliwym dążeniem Bruce'a do realizacji samego siebie i swoich aspiracji właśnie w USA. Na styku dwóch światów kultur i filozofii powstała „filozofia” Małego Smoka.

Jest niewątpliwym, że Bruce czerpał z Zen, stanowiącego podłoże ideowe Kung-fu. Stąd często powtarzające się w jego wypowiedziach czy tekstach pisanych poglądy o potrzebie samodoskonalenia wewnętrznego poprzez możliwie pełną kontrolę ciała i ducha. Towarzyszył temu postulat stałego ćwiczenia charakteru, woli oraz wyrabiania fizycznej sprawności.

Ow proces doskonalenia wiązał Bruce Lee z pojęciem wolności, która miała być ostatecznym celem. Dążenie do wolności uznawał za równoznaczne z dążeniem do prawdziwej sztuki, co znalazło wyraz w jego maksymie: „Sztuka mieszka tam, gdzie mieszka całkowita wolność. Dość specyficznie rozumiał pojęcie nauki. Nauka — jak można by sądzić — winna towarzyszyć dążeniu do ww. absolutów, być procesem akumulacji wiedzy, doświadczenia. Nic z tych rzeczy! Według Lee, dążenie do absolutu opiera się na systematycznym ubyciu a nie powiększaniu. Prawda może być osiągnięta tylko wtedy, kiedy zostanie odrzucone wszystko, co ją zakrywało, było nieprawdą i niepotrzebne. Jako szczególnie uświadomioną przynależność używał przykładu rzeźbiarza, który usuwa kolejne warstwy granitu, aby osiągnąć zamierzony cel.

W wymiarze etycznym dążenie do absolutu miało polegać także na „zru-

caniu” kolejnych warstw zła na drodze do dobra. Towarzyszyło temu przeświadczenie, iż dobro zawsze okaże się silniejsze niż zło. Należy jednak uparcie do tego dążyć. Znalazło to swój praktyczny odzwidk w sztuce walki Jeet Kune Do (np. zasada nieatakowania jako pierwszy).

Jak nietrudno się zorientować, „filozofia” ta stanowi pewien zbiór postulatów, zakładających nieograniczone i niezależne od sytuacji zewnętrznej możliwości człowieka w realizacji samego siebie. Poza niewątpliwym idealizmem i pozytywnymi głoszonymi wartościami, dawała ona jednak mało wskazówek praktycznych, jak realizować jej założenia. Poza tym głosił Bruce Lee i to, że „życie jest nieustanną walką”, czym niejako uznawał znaczenie sytuacji, w jakich człowiek na co dzień się znajduje. Powstaje pytanie: czy dążenie do absolutu w warunkach nieustannej walki jest możliwe (i na ile) oraz czy ta walka sprzyja odrzucaniu zła i osiągnięciu dobra? Ta wątpliwość, jak również dzieje samego idola wskazują, że „filozofia” pozostała w znacznym stopniu tylko teorią, a rzeczywistość nieco od niej odbiegała. Bruce Lee nigdy nie zrezygnował z celów — jak je określał — zewnętrznych: sławy, popularności, sukcesu, mimo że przeciwko nim występował; zachodniego modelu samorealizacji poprzez sukces w zbiorowości ludzkiej (a nie poprzez formowanie samego siebie w drodze żmudnych ćwiczeń ducha i wynikającej stąd satysfakcji bardzo własnej i jednostkowej).

Mówiąc zatem o „filozofii” Bruce'a Lee, należy mieć świadomość wymienionych ograniczeń, niekonsekwencji i niespójności.

### SZTUKA WALKI

Jeet Kune Do zasługuje także na odrębne wyeksponowanie. Najogólniej: jest to niewątpliwie odrębny styl (czy sztuka — jak mówił sam idol). Jego utworzenie jest niekwestionowaną zasługą Bruce'a, a dalszy rozwój także jego przyjaciel i uczeń: Danny'ego Inosanto, Taky Kimury, Jamesa Y. Lee, Teda Wonga. JKD jest nieklasyczną formą Kung-fu, rozwiniętą głównie z jej modyfikacji Win Chun (Tsun) propagowanej przez mistrza (Sifu) Yip Mana, nauczyciela Bruce'a. Główną cechą wyróżniającą JKD jest brak stereotypowych technik i otwartość na elementy innych stylów walki (m.in. boks tajlandzki, Judo, Taekwon-do, Kempo, filipińska Escrima), w myśl zasady Małego Smoka: „Chłoń to, co cenne i użyteczne; odrzuć to, co bezużyteczne”. Zasada ta przypomina zresztą slogan reklamowy popularny w USA w latach sześćdziesiątych: „Buy the Best, refuse the Rest!” (pol. „Kup najlepsze, odrzuć resztę”).

Praktyka dowiodła dużej skuteczności praktycznej JKD w konfrontacji z innymi, bardziej hermetycznymi, stylami oraz jego widowiskowości. Co jest znowu bardzo amerykańskie i silnie zakorzenione w mentalności Amerykanów, bo wymóg konkretnej użyteczności łączy się z elementami atrakcyjności zewnętrznej, wielkiego show.

W tej właśnie płaszczyźnie: stylu walki i showbusinessu, czego, niestety, nie da się, w przypadku Małego Smoka, wyraźnie rozdzielić, sukces i znaczenie naszego bohatera są największe i najlepiej widoczne. Mimo że sam Bruce często dystansował się od stawiania między jednym a drugim znaku równości.

Nie byłoby z pewnością uczciwym pominięcie płaszczyzn zjawiska pn. Bruce Lee, takich jak

### PSYCHOLOGIA I SOCJOLOGIA

Stawianie pytania: „Dlaczego Bruce Lee?” (co nb. uczyniliśmy w naszym konkursie) i próba odpowiedzi na nie wymaga uwzględnienia kilku czynników.

Niewątpliwie silnie działającymi są w tym przypadku psychologiczne mechanizmy identyfikacji i kompensacji. Nikt z nas, a już na pewno nikt z naszych Czytelników w wieku 13-17 lat (a z tego przedziału rekrutowało się w Polsce ponad 2/3 widzów „Wędzicia Smoka”) nie sądzi, iż jest indywidualnością zaspokajającą wszystkie swoje oczekiwania, aspiracje, dążenia związane z obrazem samego siebie. Dyskutować można jedynie o stopniu uświadomienia sobie tego faktu. Dlatego też, kiedy np. Zbigniew Boniek strzelał gola na Mundialu, to „w jakis sposób” dotyczyło to także nas. Robił to w naszym imieniu. I zapewne nie jeden z nas czuł się wtedy Bonikiem, identyfikował się z nim. Zapewne też te bramki kompensowały „jakoś” brak naszych własnych sukcesów i to niekoniecznie na boisku, a na przykład na lekcjach matematyki czy chemii. Takie namiastki ersatzu są nam niestety potrzebne. Takim właśnie „insurmentem” spełniania cudzych potrzeb psychicznych jest Mały Smok. Oczywiście, należy zapytać: dlaczego on?

Próbując zaś odpowiedzieć, trzeba złożyć odmienną sytuację zachodniego i naszego wielbiciela. Na Zachodzie najpierw pojawiło się „zapotrzebowanie” na orient, potem na wywozzące się z tamtego obszaru sztuki walki. Stanowiły one dla obywateli Europy i Ameryki pewne „odkrycie”. Usuwaly w cień kulturę technik i automatyzacji (jakiej postęp silnie związany był z II wojną), w której od samego człowieka zaczynało zależeć coraz mniej, na rzecz „czegoś”, co czyniło człowieka podmiotem. Byłoby anachronizmem „odizolowanie się” od zdobyczy techniki typu samochód, dźwig, zegarek czy pralka i liczenie na samego siebie i tego nikt nie próbował. Łatwiej można się było „izolować” od pistoletu czy noża sprężynowego. I o ile „uniezależnienie się” od pralki mogło dawać satysfakcję ra-

czej iluzoryczną, o tyle możliwość „ręcznego” porażenia siebie z napaśnikiem uzbrojonym w nóż miało już inną wagę. Nie zapominajmy przy tym, że ideologia wschodnich stylów niósła w sobie zawsze kult sprawności fizycznej i zdrowia, co Ameryka (a za nią Zachód) zawsze sobie ceniła (vide: jogging, aerobic). Zapewne było też w tym zainteresowaniu coś z obawy pomieszanej z szacunkiem, z jakim Zachód odnosi się do Wschodu. Ludzie Wschodu zawsze wydawali się być „silniejsi” duchowo, psychicznie, co stanowi nie tylko konstatację, ale budzi też dążenie do pewnego „naśladowania”.

I w to wszystko idealnie trafił Bruce Lee. Spełniał on kryteria „pożądanych” dla mieszkańca Zachodu cech wschodnich (siła psychiczna, sprawność, charyzmat tajemniczości, moralna jednoznaczność działania), ale także był bardzo „zachodni” w swojej efektywności działania, sukcesie, umiejętności zaprezentowania siebie.

O jego sukcesie mógł przesądzać także pewien fakt o podłożu politycznym. Kariera Bruce'a Lee przebiegała niemal dokładnie w okresie amerykańskiej wojny w Wietnamie (1964-1973). Działania wojenne wobec kraju znacznie słabszego militarnie i gospodarczo budziły w USA nie tylko społeczny odruch protestu wobec tej polityki i jej realizatorów, ale także (a może przede wszystkim) nieklamana sympatię dla narodu wietnamskiego i jego walki; pośrednio również dla całego Wschodu i cech przypisywanych jego ludziom (dobrze zresztą w realiach wojennych sprawdzonych). Bruce Lee, pojawiający się na ekranie i radzący sobie znakomicie z bezosobową, tępa i wyrachowaną siłą, mógł być symbolem wydarzeń toczących się na drugim końcu (parcie z USA) świata.

W okresie tym obraz Wschodu kształtowały także inne, widoczne dla Amerykanów, fakty. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to okres ekspansji przemysłu japońskiego na rynek USA i — w mniejszej skali — na rynki zachodnioeuropejskie. Symbol niesiony przez wyroby „made in Japan” nie był z pewnością tylko natyry technicznej, ale i nieco ogólniejszej. Pobity w II wojnie kraj w krótkim czasie stanął na nogach i stawał się równoprawnym partnerem. Owszem, dzięki transferowi technologii amerykańskiej, ale głównie dzięki psychicznym predyspozycjom jego mieszkańców.

Nie można też nie wspomnieć, iż przełom lat 60-tych i 70-tych był w USA i na Zachodzie okresem ostrego sprzeciwu młodzieży przeciwko konsumpcjonizmowi, komercjalizmowi oraz pochodnym od nich standardom życiowym, czego wyrazem choćby ruch hippiesowski. Nietrudno sformułować przypuszczenie, iż wartości transmitowane przez Bruce'a Lee były dla ówczesnej młodzieży większą atrakcją niż idee stabilizacji mieszczanckiej.

Takie są supozycje odnośnie kariery Małego Smoka na Zachodzie. W krajach azjatyckich jego popularność wiązała się z przełamaniem pewnego poczucia niższości wobec Zachodu, co dość dobrze zawiera się w opinii jednego z przyjaciół Bruce'a — „dowiodł, że Chińczyk może być także kimś innym niż kucharzem”.

W tym miejscu może paść pytanie: no a u nas? Jest ono uzasadnione. Wydaje się, że główny krąg wielbicieli Małego Smoka, młodzież nastoletnia, znajduje w nim egzemplifikację autorytetu i wzoru, którego przecież jej potrzeba. Wypada zauważyć, iż ostatnie lata przyniosły owym chłopakom i dziewczynom raczej kryzys autorytetów krajowych. Ponadto psychologia pozostaje psychologią.

Adresując powyższe uwagi do Czytelników, którzy cierpliwie nam towarzyszyli, mam nadzieję, że inaczej spojrzysz na postać Bruce'a Lee oraz innych idoli, którzy przyjdą po nim.

PS. W związku z wydrukowaniem niniejszego tekstu, będącego „ściągiawką” do tematu konkursu: „Dlaczego Bruce Lee?”, uznajemy ów konkurs za zamknięty. Do korespondencji w sprawie Bruce'a Lee, która nadeszła do naszej redakcji oraz do rozstrzygnięcia konkursu wróćmy w jednym z najbliższych numerów „Kamień”.

## Filozof ringu

**T**URNIEJ — zdaniem kibiców i ekspertów — był wyjątkowo udany, gdyż polowa zawodników nie była w stanie dojść o własnych siłach do narożnika, w którym oczekiwał ich trener. Tuż po zakończeniu ostatniej walki udałem się do szatni, by na gorąco zanotować myśli naszej olimpijskiej nadziei w wadze superciężkiej. Oczekanie stosowną chwilę, aż lekarze zanotują usta doprowadzili tego wspaniałego gladiatora do jakiejś takiej przytomności i z doskoku rzuciłem pierwsze pytanie.

— Co słuchać, panie Franku?  
— Entleczek, pełczek, czerwony guziczek, na kogo wypadnie, na tego bęc.

— Tym razem bęc wypadło na pana.  
— Hakiem mnie trafił frajer. Ja go cepem, a on mnie hakiem.  
— Dobrze, że nie dyszelem.  
— Na dyszel bym się nie nadział. Nie mnie, młodego wróbla, na takie stare plewy...  
— W poprzedniej walce, o ile pamiętam, jakiś pataluch postął pana na deski lewym sierpem.  
— Można mówić z panem szczerze?  
— Wal pan, jak na sportowca.  
— To wszystko przez te głupie myślenie.  
— No no niech pan nie będzie taki skromny. Przecież nie na darmo nazywają pana filozofem ringu.  
— Właśnie. Wychodzę sobie na ring jakby nigdy nie. Robię kilka przystańców. Czasami przezeonam się, aby przestraszyć przeciwnika i od razu zaczynam kombinować. Jak on mnie tak to ja go tak a jak on mnie tym, to ja go, bratku, tym Korpus głowa Korpus głowa. Głowa korpus. A jak Bóg da, to i niżej.  
— A później on pana zaskakuje tamtem i jest po walce.  
— Święte słowa. Widąc że pan zna się na tej dyscyplinie sportu — mruknął porozumiewawczo podmuchniętym okiem Frank — a przecież trener gada mi w kółko: Franku, u domu to możesz sobie myśleć, ile chcesz, natomiast księżkę przeczytać albo totolotka wypełnić, ale na

ringu, bracie, skacz na przeciwnika i tutaj. Lewa prawa, lewa prawa i albo odskok albo doskok. Przecież kopyta masz nie od parady.  
— No właśnie, o tym pańskim kopycie to już w kraju krążą legendy.  
— To nie legenda, to najszerzszą prawdą — Frank z trudnością podsunął mi pod nos swoją prawą pięść. — Niech pan powącha. Czuję ją grobem, czy nie?  
— Czuję — przytaknąłem skwapliwie i odsunąłem się na bezpieczną odległość.  
— Ale co mi z tego — jęknął Frank, gdyż w tym momencie lekarz usiłował wyprostować mi nos. — Po prostu w głoście mam nie poukładane. No ale zobacz pan, jeszcze tylko kilka nokautów i z głową nie będzie już żadnych kłopotów. Da olimpiady jest jeszcze trochę czasu.  
— Głowa do góry, panie Franku. Jestem pewny, że jeszcze zagrają panu Mazurka Dąbrowskiego.  
— Szybkiej marsza żalobnego — wtargnął mi z tego ni z otworu lekarz, ale trener natychmiast wyprostował go z szatni. I słusznie, bo nie można przecież odbierać młodzieży wiary we własne siły.

Wacław Dominik